NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 7 października 1916. Nr. 41.

Walka o Karpaty.



Wojska austro-węgierskie pod Kirlibabą.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy IV-ty kwartał XIII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty do **10 października** nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie . . . . . 20 koron
Półrocznie . . . . . 10 „
Kwartalnie . . . . . 5 „

Zwracamy przytem uwagę na **podwyższenie ceny prenumeraty**, która obecnie wynosi kwartalnie 5 kor. (poprzednio 4 kor.) Upraszamy zatem tych P. T. Prenumeratorów, którzy na kwartał bieżący nadesłali tylko 4 kor., **o wyrównanie różnicy.**

Prosimy również o należyte ofrankowywanie listów i korespondentek według obecnej podwyższonej taryfy **(korespondentka 8 hal., list 15 hal.)**, ponieważ listów należycie nie ofrankowanych przyjmować nie będziemy.

Walka o Karpaty.

Ofenzywa rosyjska, prowadzona z takim uporem od kilku miesięcy, straciła już swój pierwotny rozmach. Rosyanie odnieśli miejscami pewne sukcesy, ale okupione takiemi ofiarami, że osłabione armie rosyjskie musiały przerwać swe ataki.

Dziś już i komunikaty rosyjskie przestały mówić o „pochodzie na Lwów", który był przecie celem czerwcowej ofenzywy rosyjskiej. Z niesłabnącem jednak uporem kierownictwo armii rosyjskiej pcha swe szeregi na śmierć tam, gdzie Rosyanie największe dotychczas ponieśli ofiary — w Karpaty.



Walka o Karpaty: Austryacki moździerz 30·5 centymetrowy na pozycyi w lesie karpackim.

W pierwszym okresie wojny, gdy armii rosyjskiej udało się zająć znaczną część Galicyi, kampania karpacka była główną przyczyną jej klęski... Karpaty stały się masowym grobem wyborowego wojska rosyjskiego. — Armie rosyjskie, tam zdziesiątkowane, nie mogły już bronić swej zdobyczy i po klęsce pod Gorlicami musiały uciekać z Galicyi...

Nie powstrzymało to jednak Rosyan od nowej imprezy karpackiej. Choć ostatnia ich ofenzywa nie odniosła bynajmniej zamierzonego celu, armie rosyjskie z największym uporem i z największem marnotrawstwem materyału ludzkiego pchają się znowu na usiane grobami rosyjskimi szlaki karpackie. — W obecnem stadyum wojny chodzi Rosyanom nie tylko o cel polityczny. Wobec wojny z Rumunią i walk w Siedmiogrodzie sforsownie Karpat i przedostanie się armii rosyjskiej na Węgry miałoby decydujące znaczenie strategiczne. Rozumie to kierownictwo armii austro-węgierskiej i uczyniło też wszystko, aby udaremnić karpackie zakusy Rosyan. Gwałtowne ich ataki w Karpatach rozbijają się o niezdobyte pozycye wojsk austro-węgierskich, które nie tylko powstrzymują skutecznie napór Rosyan, ale zadając im dotkliwe straty — przygotowują nową klęskę armii rosyjskiej.

Z toczących się obecnie walk o posiadanie Karpat zamieszczamy w dzisiejszym numerze kilka fotografii.





Z południowego frontu:

Żołnierze austro-węgierscy montują reflektor do oświetlania rumuńskich stanowisk.

Ostrzeliwanie rumuńskiego aeroplanu w Siedmiogrodzie.

Wojenne pieniądze w Rosyi.



Wojenne pieniądze w Rosyi: Banknoty (w naturalnej wielkości) na pięć i jedną kopiejkę.

Jednym z charakterystycznych objawów, towarzyszących wojnie, okazał się niezwykły brak drobnej monety... Pamiętamy jeszcze dobrze, gdy w pierw-



Wojenne pieniądze w Rosyi: Banknot — znaczek pocztowy na dziesięć kopiejek

szych dniach wojny ludzie błąkali się od sklepu do sklepu, nie mogąc nic nabyć, choć mieli pugilares dobrze wyładowany banknotami... Wszędzie żądano drobnej monety, która właśnie momentalnie, wraz z wybuchem wojny, znikła z obiegu. Po jakimś czasie, gdy panika minęła, nastąpiła pod tym względem pewna poprawa, zwłaszcza, gdy puszczono w obieg banknoty dwukoronowe. Ale i obecnie daje się odczuwać pewien brak drobnej, zdawkowej monety, czemu właśnie ma zaradzić wydane niedawno w Austryi rozporządzenie o dzieleniu na połowy i ćwiartki banknotów dwukoronowych...



Bitwa nad Sommą: Żołnierze niemieccy w okopach nad Sommą.

Podobny objaw braku drobnej monety dał się odczuwać nie tylko w Austryi, ale we wszystkich wogóle państwach prowadzących wojnę. Jak dotkliwym musiał być ten brak w Rosyi, świadczy wymownie fakt, iż tam musiano nawet wydać banknoty, opiewające na piętnaście, dziesięć, pięć a nawet jedną kopiejkę. Takie banknoty reprokukujemy w dzisiejszym numerze. Są to podłużne kartki (które zamieszczamy w naturalnej wielkości) z napisem na odwrotnej stronie: „Mają kurs na równi z miedzianą monetą".

Prócz tego puszczono w Rosyi drugi oryginalny rodzaj monety zdawkowej. Są to zwykłe co do rysunku i formatu znaczki pocztowe, na odwrotnej stronie których — zamiast kleju — znajduje się napis: „Mają kurs na równi ze srebrną monetą". Taki obiegowy banknot-znaczek pocztowy na dziesięć kopiejek zamieszczamy również w dzisiejszym numerze.



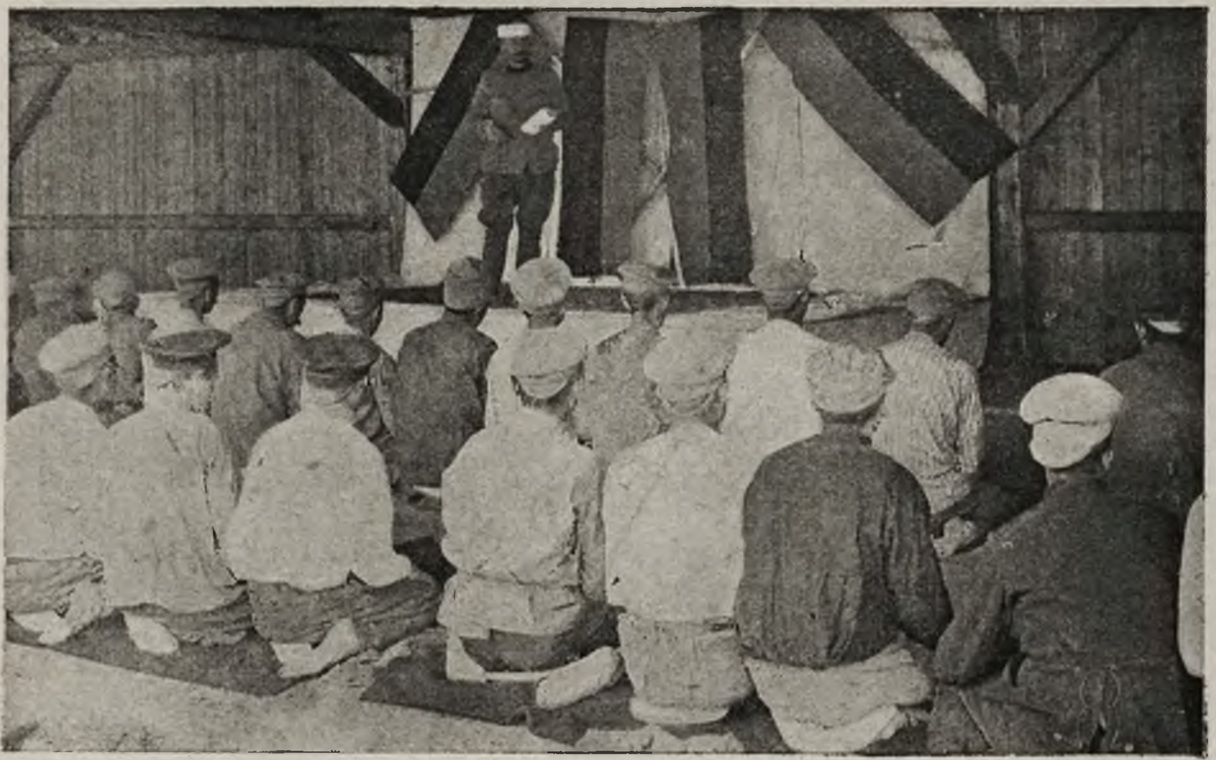
Bitwa nad Sommą: Jeńcy francuscy, wzięci do niewoli w walkach nad Sommą.



Obóz jeńców w Dąbiu: Duchowny prawosławny odprawia nabożeństwo dla jeńców rosyjskich.

Bitwa nad Sommą.

Od trzech miesięcy toczy się bez przerwy na zachodnim froncie największa niewątpliwie w obecnej wojnie bitwa nad Sommą. Anglicy, którzy dotychczas tak wstrzemięźliwy brali udział w walkach lądowych, dopiero po dwóch latach wojny przygotowali olbrzymią armię i rzucili ją do walki nad Sommą, aby wspólnie z wojskami francuskiemi na tym odcinku przełamać linię wojsk niemieckich i przeważyć szalę zwycięstwa na stronę koalicyi. Istotnie rozpoczęto walkę wszelkimi możliwymi środkami, jakie dało doświadczenie obecnej wojny. Nigdy nie widziano takiego potwornego gradu działowych pocisków, jak ten, który zasypuje systematycznie i kolejno każdy metr kwadratowy terenu, obsadzonego przez przeciwnika: dokładnie wedle mapy, leżącej przed komendantem bateryi. Piekło działowego ognia



Obóz jeńców w Dąbiu: Nabożeństwo dla mahometan

w walkach tych przeszło wszystko, co kiedykolwiek w obecnej wojnie oglądano dotychczas. I nigdy nie widziano tak idealnego zespołu pomiędzy piechotą i artyleryą, artyleryą a lotnikami, nigdy nie było tak zgranego współdziałania wszelkich do dyspozycyi pozostających pomocniczych środków technicznych, jak to, które jest w obecnej ofenzywie angielsko-francuskiej nad Sommą.

Nic dziwnego też, że w tych walkach udało się Anglikom i Francuzom uzyskać wobec Niemców pewne sukcesy, które jednak nie stoją w żadnym stosunku do podjętych wysiłków i poniesionych ofiar.

Do sukcesów, które bądź co bądź osiągnęli, aczkolwiek ograniczyły się one do posunięcia się o pięć kilometrów na wschód, dochodzili Francuzi powoli



Obóz jeńców w Dąbiu: Rosyjscy jeńcy, Koreańczycy.

niezmiernym wysiłkiem. Dnia 8. września dotarli do zachodniego brzegu lasu Leuze i Anderlu na północ od Le Forest oraz do lasu Marieres na północny wschód od Cléry. Le Forest i Cléry oczywiście wpadły przytem w ich ręce. Nastąpiła potem cisza, spowodowana rozległemi przygotowaniami do nowych ataków. Dopiero 12. września uderzono ponownie na całej przestrzeni od Combles aż do rzeki Sommy. Wtedy to rozgorzały te walki zaciekłe, które doprowadziły do wgniecenia całej linii niemieckiej na południe od Combles poprzez las Anderlu.

Po Francuzach przyszła kolej na Anglików. Dnia 15. września podjęli oni na całym swoim froncie w kącie, utworzonym przez rzeki Sommę i Ancrę, pomiędzy Thiepval i Combles ofenzywę, rozwijając przytem olbrzymie siły na wązkim froncie. Wszystkie ich dotychczasowe wysiłki zyskania na terenie na tym odcinku załamywały się stale, chociaż uporczywie były ustawicznie wznawiane od 19. sierpnia począwszy. Ataki te podejmowane były oczywiście po obrobieniu poprzedniem terenu wszelkimi technicznymi środkami, począwszy od działowego ognia, poprzez gazy trujące, rzucane płomienie, aż do podkopów i wysadzania min.

Ataki wszystkie rozbijały się o opór niemieckiej piechoty. Tylko w miejscu, gdzie linia frontu z lasu Delville skręca na południe, biegnąc przez Guillemont do Maurepas i łącząc się z lewem skrzydłem francuskiem, powiodło się wojskom angielskim wziąć dnia 3 września Guillemont, dnia 9 zaś Ginchy. — W ten sposób podsunęli linię swego frontu aż do lasu Leuze, oraz do południowego skraju Combles. Następnie całymi dniami przygotowywała artylerya angielska w dalszym ciągu teren do ataku. Wreszcie 15 września ruszyło do ataku jedenaście dywizyi angielskich na przestrzeni od Thiepval aż do Combles, na odcinku, liczącym dwanaście kilometrów. Po huraganowym ogniu artyleryjskim uderzono wzdłuż drogi, wiodącej z Albert do Bapaume. Zdobyli wówczas wieś Courcelette, leżącą na zachód od drogi, o którą dotychczas nadaremnie się rozbijały wszystkie ich ataki, zdobyli Martin Puich, leżący na wschód od tej drogi, wreszcie ponawiane ustawicznie ataki na przestrzeni pomiędzy lasem Foureaux i Delville doprowadziły do wzięcia Flers.

Wszystkie te jednak zwycięstwa i zdobycze, jakkolwiek okupione tak ciężkiemi stratami Francuzów i Anglików, nie zdołały przełamać obronnych linii niemieckich i nie zmieniły ogólnej sytuacyi. Jak się przedstawia istotny bilans angielsko francuskich zdobyczy, najlepiej mówią cyfry. Zdobyty i okupowany przez Niemców obszar wynosi w Belgii dwadzieścia dziewięć tysięcy kilometrów kwadratowych, we Francyi dwadzieścia jeden tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli ogółem pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych. Z tego razem Francuzi i Anglicy odzyskali zaledwie 0 3%. Aby osiągnąć ten rezultat sami Anglicy w ciągu trzech miesięcy walk nad Sommą stracili trzysta tysięcy żołnierzy, co ze stratami francuskiemi przewyższa pół miliona ludzi!



Obóz jeńców w Dąbiu: Nabożeństwo prawosławne.



Obóz jeńców w Dąbiu: Grupa Tatarów.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

1

ROZDZIAŁ I.

Powoli, krok za krokiem, toczył się po bruku wóz sanitarny „Czerwonego Krzyża“.

Wieczór był letni, ciepły, pogodny. Z otwartych okien płynęły jasną falą światła, dozwalając oczom obcych wniknąć do wnętrza zacisz domowych — od plant szedł upojny zapach lip rozkwitłych, zmieszany z delikatną wonią róż.

Na ulicy rojno było jeszcze i gwarno. Dużo osób, korzystając z pięknej pogody, używało przechadzki — inni wracali z teatru, z kinematografów lub spieszyli do kawiarń.

Szare mundury wojskowe mieszały się z cywilnemi ubraniami mężczyzn i różnobarwnemi, powiewnemi sukniami kobiet.

Na przejeżdżający wóz z rannymi mało kto zwracał uwagę.

Takie wozy nie były już elektryzującą nowością. Wszak od początku wojny tyle ich przeciągnęło i jeszcze przeciąga codziennie.

Tłum przywykł, zobojętniał.

Jakaś stara, czarno ubrana, przygarbiona kobieta zatrzymała się i wbiła wzrok w toczący się zwolna ambulans. — Wargi staruszki zadrżały nerwowo: trwoga, czy nadzieją. Któryś z mężczyzn podbiegł i podał jednemu z rannych papierośnicę.

Wóz potoczył się dalej, witany spokojem, obojętnością, szmerem rozmów, hałasem kroków, szelestem sukien, zwykłym rozgwarem miejskim.

Ludwik Rażycki w milczeniu palił papierosa i wzrokiem chciwym, spragnionym spoglądał z ambulansu na ulicę i napawał słuch tym łagodnym gwarem, płynącym od ruchliwej masy ludzkiej.

Swiatła... spokojne rozmowy... zapach kwiatów... kobiety...

Czy to jawa, czy sen tylko zwodniczy, z którego przyjdzie obudzić się do rzeczywistości wśród piekielnego grania armat, w chaosie krwi, grozy i zniszczenia.

Gdzie pozostała ta straszliwa furya wojny, przemawiająca rykiem tysięcy dział, wstrząsająca umęczoną ziemią w konwulsyjnych rzutach, plująca krwią, śmiercią i zagładą.

Zdawałoby się, na kilometry licząc, że odległość nie tak wielka, przebyć ją wszakże można w krótkim czasie, a jednak to bardzo, bardzo daleko.

Rażycki nagle syknął z bólu. Lekkie wstrząśnienie wozu wywołało silniejszy ból w zwieszonej bezwładnie na temblaku ręce.

Jeden z cięższej rannych jego towarzyszów jęknął głośno, ale ten jęk zgłuszyła muzyka, grająca w letniej kawiarni na plantach „Habanerę“ z „Carmen“.

W dwóch innych narożnych kawiarniach gorzały jasno światła. Przy ustawionych na dworze stolikach nie było wolnego miejsca, kelnerzy zwijali się jak w ukropie, roznosząc kawę, herbatę, lody, ciastka, podając gazety.

— Mój Boże, to chyba do nieba już człowiek jedzie! — szepnął jeden z żołnierzy, upojony widocznie blaskiem świateł, zapachem kwiatów, dźwiękami muzyki i szmerem fali ludzkiej.

— Grają... Sliczna muzyka.

— O! Jak też to tu dobrze!

— Co oni tutaj o wojnie wiedzą...

W oczach jednego z rannych błysnęły złe ogniki. Wysunął głowę, spojrzał na jaśniejące światłem, przepełnione kawiarnie, na te gwarne tłumy, oblegające stoliki.

— Psiakrew! — mruknął przez zęby — Siedzą tu sobie, jak u Pana Boga za piecem, jedzą, popijają, jeszcze im muzyka przygrywa!... Bawią się panowie! A ty, człowiecze... Psiakrew!...

Nie dokończył swojej myśli i zaciął się w milczeniu, w ponurej, chłopskiej zawziętości.

Rażycki rozumiał, że powinien przemówić, wytłumaczyć temu towarzyszowi doli i niedoli żołnierskiej; że to, co widzi przed sobą, jest rzeczą zupełnie naturalną, że pomimo okrucieństw i grozy wojny życie musi iść swoją drogą.

Wiedział, że można o tem mówić dużo, dużo, ale nie powiedział nic, bo poprostu nie chciało mu się. Był zanadto zmęczony, osłabiony i oszołomiony, aby myśli swoje ubrać w słowa, a przytem coraz silniej zalewała mu duszę fala żywiołowej radości.

Oto jest! Zyje, istnieje, oddycha powietrzem rodzinnego miasta, słyszy muzykę, widzi kobiety!...

Wytężył wzrok. Może wśród gości kawiarnianych odnajdzie jaką twarz znajomą.

Ta starsza pani z siwiejącymi włosami, w czarnej sukni, przypomniała mu matkę, a ta obok dziewczynka, z długimi, blond warkoczami, jakże podobna do Janki.

Nie! To nie one!... Matka hołduje staroświeckim pojęciom i kawiarń nie uznaje, a zwłaszcza nie poprowadziłaby tam Janki.

Siedzą w domu, zabierają się już może do snu... Mama jest smutna, bardzo smutna, bo od dwóch tygodni nie miała listu z pola...

Mówi do Janki: „Mój Boże, co tam teraz porabia nasz Ludwiś. Czy zdrów?“ A Janka wzdycha smutnie i wstrząsa swoimi jasnymi lokami, niepo słusznymi szpilkom, ni grzebykom.

I nie wiedzą obie, nie przeczuwają, że on blizko, że jutro już zobaczą się...

A to kto?! Ta wysmukła, ciemnowłosa panna, czy to nie kuzynka Anielka Zurakowska?

Ależ skądże... Anielka na wsi z mężem. Pani Walczakowa... Otrzymał przecież wiadomość o jej ślubie.

W pierwszej chwili było mu to nieprzyjemnie, odczuł coś, jakby poryw niechęci ku Walczakowi.

Ale to minęło prędko. Wszak nie miał zamiaru żenić się z Anielką, marzył o niej przez czas jakiś, ot i wszystko. Sliczna dziewczyna i dobra, to prawda, tylko trochę za poważna, życie zanadto seryo bierze.

Niechże sobie będzie szczęśliwa z Walczakiem, jeżeli go sobie tak upodobała.

Myśli Rażyckiego odbiegły od Anielki. Wydało mu się, że przy jednym ze stolików rozpoznaje pełną, różową twarz pani Ady, że to na jej fantastycznie wygiętym kapeluszu powiewają tak śmiało białe pióra — rozróżniał nawet ten jej charakterystyczny, srebrzysty śmiech.

Ambulans minął kawiarnię, Ludwik nie mógł więc stwierdzić, czy go wzrok i słuch nie omylił...

Pani Ada!

Przez cały czas pobytu na froncie bojowym nie myślał o niej, nie napisał ani razu, ale teraz na wspomnienie ładnej brunetki zabiło mu serce żywiej i silniej zapulsowała krew w żyłach.

Ileż to chwil rozkosznych spędził w towarzystwie tej uroczej kobietki, która umiała się bawić i szaleć do zapamiętania.

Roześmiał się sam do siebie. A cóż przeszkodzi odnowić te miłe wspomnienia?

Może pani Ada pogniewała się, że nie dawał znaku życia o sobie? Teraz przeprosi ją — tem milszą będzie zgoda.

Zresztą pani Ada, czy inna — wszystko jedno! Dość, że jest, zobaczy przyjaciół, znajomych, matkę, siostrę — blizkie, miłe twarze — odżyje życiem normalnem, odegna od siebie precz krwawą zmorę śmierci.

Kto śmierci spojrzał w oczy — ten dopiero umie cenić życie!

Ambulans zbliżał się do szpitala, ścigany dźwiękami muzyki kawiarnianej. Orkiestra grała teraz sentymentalnego walca wiedeńskiego.

Rażycki tonął w różowych marzeniach i z utęsknieniem myślał o dniu, który miał nastąpić.

Nagle drgnął, najobojętniejsi nawet z jego towarzyszów poruszyli się i wsłuchali.

W miłosne, rozmarzone tony walca wplątała się nuta inna, poważna, przejmująca, której z podziwem słucha obcy przybysz, a ze wzruszeniem zawsze każdy Polak.

Strażnik na wieży Maryackiej grał hejnał. To stary Kraków witał dzieci swoje, wracające z pola, z krwawych zapasów, jakby im chciał powiedzieć: czuwaj, czuwaj! i wytrwaj!

— — — — — — — — — — — — — —

— Proszę się przyznać otwarcie, panie Ludwiku. Był pan mocno rozczarowany, że to ja pierwsza z pańskich znajomych odwiedziłam pana w szpitalu. No, dzisiaj ledwie pan wyszedł za bramę, już spotkaliśmy się. Nie poczyta pan tego przecież za zły omen, co?

— Ależ, panno Kornelio...

— Tylko bez towarzyskich grzeczności, między dwojgiem przyjaciół, jakimi, sądzę, że jesteśmy, to zbyteczne. Ja i tak wiem, co mam o sobie myśleć. Trudno, wiem, że jestem brzydka, nie mam wdzięku, nie umiem się podobać i tak dalej i tak dalej, ale ja się już dawno z tem pogodziłam. Moi rodzice chrzestni przewidzieli snać odrazu, że zostanę starą panną, bo dali mi odpowiednie imię, Kornelia. Nie złorzeczę im zresztą, mogłoby być gorzej, na przykład Kordula lub Pulcherya. Ale mniejsza z tem, do panien na wydaniu się nie zaliczam, a kolega ze mnie niezgorszy, prawda?

— Najlepszy! — odpowiedział zupełnie szczerze Ludwik Rażycki — Nikt z moich znajomych i kolegów nie pamiętał tak o mnie, jak pani.

— Bo widzi pan, powiedział mi ktoś raz, że jestem stworzona na „siostrę ludzi“. Nie na kochankę, nie na żonę, ale na siostrę... Uznałam słuszność tego orzeczenia i staram się wypełnić moje przeznaczenie jak najlepiej.

Panna Kornelia Witowtówna roześmiała się wesoło, ukazując z poza szerokich warg brzydkie, szerokie, nierówne, żółtawe zęby.

Nie przesadzała wcale, mówiąc o swojej brzydocie. Oczy miała małe, zanadto ku sobie zbliżone, pozbawione oprawy brwi i rzęsów, o barwie jakiejś błękitnawo-wypłowiałej, cerę czerwoną, poznaczoną centkami piegów, usta szerokie, ordynarne w rysunku, nos zakrótki, nadmiernie zadarty, brodę zbyt wydłużoną.

Trzymała się pochyło, co uwydatniało jej wązkie ramiona i zapadłą pierś.

Jaskrawym, bolesnym niemal kontrastem odbijało się od tej niezwykle brzydkiej twarzy i mizernej postaci bogactwo prześlicznych, bardzo jasnych, popielatych, bujnych włosów. Tych włosów mogła jej pozazdrościć najpiękniejsza kobieta.

— Po co mi te włosy? — śmiała się nieraz Kornelia — Tylko kłopot z czesaniem i rozczarowanie dla mnie i dla innych. Ile to razy, zwłaszcza o zmierzchu, zaczepiano mnie... Wystarczyło jednak, abym odwróciła się twarzą do natręta, a ulatniał się zaraz jak kamfora. Chętnie oddałabym te włosy, lub zamieniła na nieco zgrabniejszy nos, czy ładniejsze oczy.

Wogóle o niepowabnej powierzchowności swojej Kornelia wspominała często, nigdy jednak ze smutkiem lub goryczą, a zawsze dowcipnie i z humorem.

— Wyrodziłam się — opowiadała — matka moja uchodziła swego czasu za piękność, ojciec był bardzo przystojnym mężczyzną, siostry są wszystkie ładne, tylko ja jedna nie udałam się. Jak mi powiadano, podobna jestem, jak dwie krople wody, do jakiejś ciotecznej babki, która była niesłychanie brzydką i została starą panną. Dlaczego ta cioteczna babcia właśnie mnie za pośmiertny konterfekt sobie obrała, tego to już nie wiem. Taki widocznie był mój „pech“. Urodziłam się z piętnem staropanieństwa na czole. Dlatego też rodzice pozwolili mi wyjechać na studya, bo od najmłodszych lat moich trapili się: co z nią będzie, kto ją weźmie. No i wyfrunęłam w świat, na swobodę, z naszego dosyć szczupłego i dusznego dworku, daję sobie jakoś radę w życiu, nawet bardzo dobrze, a moje ładne siostry wzdychają tymczasem, ślęczą nad nieprzydatnemi nikomu robótkami i więdną, oczekując mężów, o których w okolicy nasej bardzo trudno. Z tego jasno wynika, że i brzydota ma swoje dobre strony.

Dobry humor nie opuszczał nigdy Kornelii, zawsze była uśmiechnięta i miała na podorędziu jakiś żart dowcipny, wesołe opowiadanie lub ciętą odpowiedź. W walce o byt umiała sobie radzić nieźle. Wystarała się o lekcye i zarabiała tyle, że mogła zrezygnować ze skromnego zasiłku, który przysyłali jej rodzice.

Koledzy podrwiwali sobie z początku z jej brzydoty i pretensyonalnego imienia, musieli jednak uszanować jej zdolności i wytrwałą pracę, po bliższem zaś poznaniu ten i ów zaczynał ją lubić. Była tak koleżeńska, uczynna, narzucająca się niemal z przysługami, a przytem tak wesoła, dowcipna, że ostatecznie trzeba jej było przebaczyć tę brzydotę, która przecież nie była jej winą.

Uraz zdawała się nie pamiętać. Pewnego razu ofiarowała się sama z pożyczką koledze, znajdującemu się w chwilowych kłopotach finansowych, chociaż należał do tych, którzy jej dokuczali. Pisał nawet humorystyczne wierszyki o „pięknej Litwince“ i rysował karykatury Kornelii.

Zawstydzony kolega pożyczkę przyjął, ale od tego czasu przestał rysować karykatury, a o Witowtównie mówił, że to „poczciwa dziewczyna“.

Wśród koleżanek miała gorące zwolenniczki, bo trudno było o cierpliwszą powiernicę, wierniejszą przyjaciółkę.

Ludwik Rażycki poznał ją podczas zbiorowej wycieczki akademickiej w Pieniny. Na ogół znał on mało studentek, jako słuchacz prawa nie spotykał ich na wykładach, a poza gmachem uniwersyteckim nie szukał znajomości wśród koleżanek.

Nie lubił kobiet emancypowanych, jeżeli jednak czasem zwracał uwagę na jaką studentkę, to tylko na taką, która się wyróżniała urodą. Brzydkie kobiety nie istniały dla niego, chyba jako przedmiot drwin mniej lub więcej dowcipnych.

Jak się to więc stało, że przez cały czas owej wycieczki rozmawiał najwięcej z panną Kornelią Witowtówną i nie nudził się wcale w jej towarzystwie?

Kiedy na stacyi w Krakowie przedstawiono go Witowtównie, pomyślał: „poczwara" i przestał na nią zwracać uwagę.

Usadowiła się w tym samym, co i on, przedziale — tuż obok niego.

Ludwik, niezbyt zadowolony z tego sąsiedztwa, zmarszczył lekko brwi, ale Kornelia, jakby nie widząc tego, najswobodniej w świecie rozpoczęła rozmowę. Z początku Rażycki odpowiadał monosylabami, ale wkrótce rozchmurzył się i ożywił.

Brzydka koleżanka tak dowcipne rzucała uwagi i tak zręcznie zdołała w ciągu krótkiego czasu powiedzieć mu kilka rzeczy, które mile pogłaskały jego próżność i miłość własną, że poczuł trochę sympatyi do „poczwary" i wydała mu się mniej odrażającą.

Kiedy zaczął zdradzać senność i znużenie, Kornelia urządziła mu wygodne posłanie, zaofiarowując przytem własny swój koc.

O świcie przybyli do Nowego Targu. Ranek był bardzo chłodny, a na stacyi nie można było jeszcze dostać nic ciepłego. Witowtówna wydobyła ze swego „plecaka" maszynkę spirytusową, szybko ugotowała herbatę, nalała do niej koniaku, wyjęła jakieś doskonałe kruche migdałowe ciastka i podała to Rażyckiemu z taką narzucającą się uprzejmością, że musiał przyjąć i podziękować.

I tak było przez wszystkie dni wycieczki. Witowtówna umiała niesłychanie zręcznie, a delikatnie narzucić mu na każdym kroku towarzystwo swoje i troskliwość. Nie przeszkadzała mu rozmawiać z innemi, ale była przy nim ciągle i rozsnuła wokół niego pajęczo subtelną siatkę drobnych starań i przysług.

Kiedy powrócili do Krakowa, byli tak ze sobą, jakby się znali oddawna. Ludwik doszedł do wniosku, że z tej brzydkiej Witowtówny to wcale dobry kolega.

Od tego czasu spotykał ją wszędzie. Chociaż przyrodniczka, zapisała się na wykład historyczny, na który on uczęszczał, co więcej, zdołała się zapoznać z matką Ludwika i pozyskać jej sympatyę, pomimo, że pani Rażycka żywiła silne uprzedzenia do kobiet, studyujących na uniwersytecie. Dla Kornelci zrobiła jednak wyjątek, uznając, że to zupełnie „porządna" dziewczyna.

Z Janką zaś Kornelia zawarła serdeczną przyjaźń. Witowtówna krążyła tak koło Ludwika, jak ćma koło światła, strzegąc się jednak pilnie, by on tego krążenia nie spostrzegł.

Nie krępowała go nigdy, nie była mu ani przez chwilę uciążliwą, natomiast zręcznie starała się wykorzystać każdą sposobność, aby mu się stać potrzebną, oddać jakąś przysługę, powiedzieć coś przyjemnego.

Dlaczego to robiła, nad tem Ludwik nie zastanawiał się nigdy. Jako kobieta nie istniała dla niego, nie interesował się więc wcale tajnikami jej serca.

Z czasem przywykł do niej i do tej pokornej gotowości do usług. Zrobił z niej swoją powiernicę, której nie tylko opowiadał swoje przygody miłosne, ale czasem żądał od niej pomocy, której nigdy nie odmawiała.

Słuchając jego opowiadań, wykonując zlecenia, miała Kornelia twarz zawsze jednostajnie uśmiechniętą, tylko gdyby ktoś spojrzał uważniej i głębiej w jej oczy, może zobaczyłby w nich jakąś bezdeń bezgranicznego smutku, ale komuby się chciało spoglądać w te brzydkie, bezbarwne oczy.

Z wybuchem wojny Ludwik Rażycki został powołany do szeregów. Wyjeżdżając, zapomniał się pożegnać z Kornelią, ale ona przybiegła na stacyę.

Rażycki miał dużo przyjaciół, którzy przyszli go pożegnać, odprowadzały go też matka i siostra. Zabrakło mu czasu, aby zamienić z Kornelią choć słowo. Zaledwie, że zdążył podać jej rękę.

Pamięć o nieobecnych zaciera się szybko. Z licznych kolegów, znajomych, przyjaciół mało kto pisywał do Ludwika. Jednych rozproszyła wojna po świecie, inni mieli swoje troski i zajęcia, uciechy, zmartwienia i nie mieli czasu bawić się w korespondencyę.

Prawie każda poczta polowa przynosiła Ludwikowi list i pakunek od Kornelii. — Z zadziwiającą przenikliwością odgadywała jego życzenia i przysyłała mu zawsze to, czego brak w danej chwili najsilniej uczuwał. Nawet matka Ludwika nie mogła dorównać jej w troskliwości.

Witowtówna pierwsza przywitała go w szpitalu. Jak, kiedy, od kogo dowiedziała się o jego przyjeździe, to już było wyłączną jej tajemnicą, której zresztą nikt badać nie zamierzał.

I dzisiaj, zaledwie Rażycki znalazł się na ulicy, już przypadek sprowadzał skądsiś pannę Kornelię. Co prawda, to pomogła ona temu przypadkowi, kręcąc się od kilku godzin koło szpitala.

— Dokąd pan idzie?

— Do matki...

— Podprowadzę pana, właśnie tamtędy wypada mi droga... Naturalnie, jeżeli moje towarzystwo nie przeszkodzi w niczem panu, może już jakie rendez-vous umówione?

— Nie, jeszcze nie — roześmiał się Ludwik — nie miałem czasu. Na razie dążę tylko na łono rodziny, a po drodze chcę się zapoznać na nowo z Krakowem, jeżeli to więc pani wszystko jedno, obierzmy drogę jak najdalszą.

— Ależ jak najchętniej, dzień taki śliczny, że miło przejść się trochę.

Istotnie dzień był pogodny, bardzo słoneczny. W powodzi złotych blasków nędzniejszą jeszcze i brzydszą, niż zwykle, wydawała się postać Kornelii, jeszcze jaskrawszym kontrastem odcinały się pukle jasno popielatych włosów, wydobywających się z pod skromnego, czarnego, słomkowego kapelusza.

Zmieniła się ona trochę, nie wyładniała jednak bynajmniej. Pobladła tylko i zmizerniała, przez co silniej zaznaczyły się centki piegów, koło oczu miała ciemne obwódki, powieki zaczerwienione, jakby od nieprzespanych nocy lub łez wylanych.

— Zmizerniała pani — rzekł nagle Ludwik, rzuciwszy przelotne spojrzenie na twarz swojej towarzyszki.

Zarumieniła się. Po raz pierwszy, od kiedy się poznali, zwrócił uwagę na jakąś zmianę w jej wyglądzie.

— Pracowałam sporo ostatnimi czasy — odpowiedziała pospiesznie — to z tego, to tylko z tego.

Zlękła się, że on może się domyślać, ile dni ciężkich, dręczących, pełnych trwogi, tęsknoty, cierpienia przeżyła, kiedy on był daleko, każdej chwili narażony na niebezpieczeństwo, na śmierć.

Niepotrzebnie obawiała się. Ludwik bardzo dalekim był od myśli posądzenia jej o goretsze uczucia, czy to dla siebie, czy dla kogokolwiek. Uważał ją za stojącą stanowczo poza nawiasem wszelkich zawikłań miłosnych. To była dla niego tylko wygodna koleżanka, cierpliwa powiernica, „siostra ludzi", jak się sama określiła.

Całą jego uwagę pochłonął teraz ruch uliczny. Toż przez tyle miesięcy widział tylko las, ziemianki, mundury żołnierskie. Cały ten tłum przechodniów obcych, obcjętnych wydał mu się blizkim, miłym, zajmującym.

Witał spojrzeniem dobrze znane sobie kamienice, ślizgał się wzrokiem po twarzach kobiet, uśmiechał się do dzieci.

— Niechże mi pani opowie co nowego o Krakowie. Tylko o polityce i wojnie nie chcę nic słyszeć. Zato zajmuje mnie wszystko inne. Chciałbym wiedzieć, kto podczas mojej nieobecności ożenił się, zakochał, umarł, rozwiódł się i tak dalej. Jednem słowem spragniony jestem plotek.

Usta Kornelii drgnęły lekko, prawie niepostrzeżenie. Może spodziewała się innego zapytania, może miała nadzieję, że on powie:

— Proszę mi powiedzieć coś o sobie. Jak pani przebyła ten cały czas, czy dobrze się pani powodzi?...

Może chciała pochwalić się, że dostała dobrą posadę w laboratoryum chemicznem i pomimo ciężkich warunków życia podczas wojny wychodzi zwycięsko z walki o kawałek chleba powszedniego.

Nie zapytał jednak, więc ani słowem nie wspomniała mu o swojem życiu, a zaczęła mu opowiadać o ludziach, z którymi nic ją nie łączyło.

I starała się mówić żywo, wesoło, zajmująco, aby go nie znudzić i choć przez krótką chwilę zatrzymać przy sobie.

— Kto to? — wpadł jej nagle bezceremonialnie w mowę Ludwik, wskazując oczyma na młodą pannę, z którą Witowtówna zamieniła ukłon.

— To młodsza koleżanka moja z uniwersytetu, Hela Lidzińska.

— Bardzo ładna panna — szczególnie oczy ma prześliczne... tylko spogląda tak jakoś poważnie, surowo i jakby smutno.

— Bo niewesołe ma życie.

— Tak? A dlaczego?

— Dużoby o tem mówić. Ma ojczyma, z którym zdaje się niezbyt sympatyzuje i matkę, z którą niebardzo się rozumie. Te przykre stosunki rodzinne skłoniły ją nawet do tego, że przerwała studya uniwersyteckie i zdała maturę seminaryalną i obejmuje na wsi posadę nauczycielki ludowej.

— Więc to uboga panienka, a ubrana tak elegancko?

— Bo ja wiem. Ojczym jej uchodzi za człowieka bardzo bogatego, dom prowadzi na wielka skalę, ale Hela chce się uniezależnić.

— O, o! Więc to emancypantka? — pytał Ludwik, coraz więcej zainteresowany.

Przedziwnie piękne, głębokie, czarne oczy panny Lidzińskiej zrobiły na nim silne wrażenie. Wysmukła postać dawno znikła już w tłumie, a on ciągle jeszcze widział przed sobą te oczy.

— Jeżli tak się panu podoba nazwać dążenie do samodzielnego bytu — to emancypantka. Wiem, że się to panu nie podoba, ale trudno. Takie teraz czasy, że spotyka się i piękne emancypantki, nie tylko takie straszydła, jak ja. Przedstawiłabym jej pana, jeżeli pana tak zainteresowała, ale Hela nie lubi nowych znajomości z mężczyznami.

— Dlaczego?...

Kornelia nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tej chwili rzucił się Ludwikowi na szyję okrągły, różowy blondynek.

— Ludwik! Ludwik! Jak się masz! Słyszałem już, żeś przyjechał! Pokażże się, jak wyglądasz, o zmizerniałeś bardzo, ogorzałeś.

— Ale ty zato, mój Stasiu, jesteś zawsze jednakowo biały i różowy. Dobrze ci się widocznie powodzi. No, ale jak się to stało, żeś ty dotychczas w cywilu, na chorego nie wyglądasz.

— Jestem reklamowany, mój drogi.

— Zatem niezbędny?

— A tak! Niezbędny! Jestem urzędnikiem w starostwie.

— A skąd i dokąd teraz idziesz?

— Z domu do urzędu.

— Tak późno? — zdziwił się Ludwik — toż chyba urzędowe godziny dawno się zaczęły.

— E! Co tam, urzędowanie nie ucieknie.

— Interesanci napewno także nie — zaśmiała się Kornelia — przeciwnie, przybędzie ich więcej. Ustawią się w „ogonek", jak przed sklepami z cukrem, mąką i poczekają sobie. Nic się im nie stanie, w tem staniu i czekaniu mają już wprawę.

Stanisław Herwicz spojrzał niedowierzająco na Witowtównę, niepewny, czy ona mówi seryo, czy kpi z niego, ale z tej wieczyście uśmiechniętej twarzy nie mógł nic wyczytać. Machnął ręką i pomyślał: „ktoby się tam troszczył o to, co taki koczkodan myśli".

Ludwik pokręcił głową, służba wojskowa przyuczyła go do sumiennego wykonywania obowiązków.

— No, wiesz Stasiu, ty, zdaje się, nie bardzo krępujesz się tem twojem „niezbędnem" urzędowaniem.

— Co to morały?! Odmienili cię na tej wojnie, czy co?

— Może trochę.

— To przenicuj się prędko na dawnego, wesołego Ludwika, który nie prawił kazań o obowiązkach. A teraz, żebyś mnie dłużej nie moralizował, zmykam. Ale o szóstej spotkamy się dzisiaj u Hawełki, dobrze?

— Będę!

— Servus, Ludwik! Do widzenia pani! Pędzę, bo tramwaj nadjeżdża. A powiadam ci, Ludwik, warto teraz jeździć tramwajami... Konduktorki do skonały wynalazek wojny. O szóstej, pamiętaj!

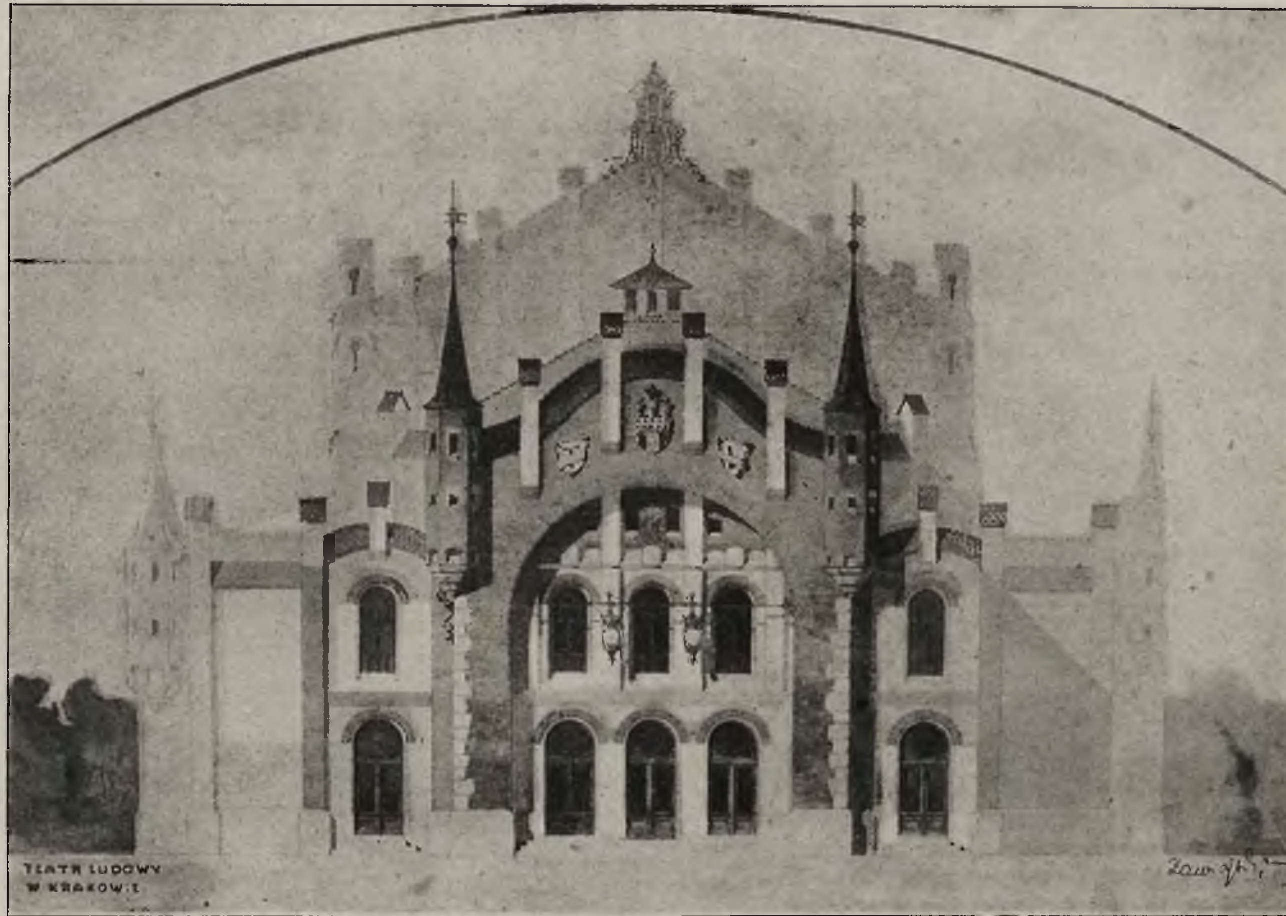
(Ciąg dalszy nastąpi)

Teatry miejskie w Krakowie.

Wśród szczęku broni i pożogi wojennej nasze piękne miasto Kraków broni i chroni swój dobytek kulturalny, wiekami, wśród ciężkich zaiste warunków, zdobyty. Malarstwo, rzeźba — z początkiem wojny zalękły się o swój los — a jednak sztuka zakwitła nowemi latoroślami, które wojna i jej bohaterowie, Legioniści, zasadzili! A i sztuka dramatyczna i jej siedziby — obydwa teatry miejskie, odrodziły się w nowej szacie.

Teatr miejski imienia Juliusza Słowackiego po dwudziestu trzech latach istnienia przyprószył się siwizną, ale nie pochylił się i dziś dumnie świeci złotemi literami: „Kraków narodowej sztuce!“ Odświeżono go i odnowiono starannie i uporządkowano i choć od zewnątrz ma wygląd podstarzały, to sercem polskiej sztuki dramatycznej żyw i krzepki! Wnętrze jego — sala widzów, foyer, klatka schodowa bogate i świetne, jak w dzień poświęcenia gmachu, 20. października 1893 roku.

Teatr ludowy, który przeszedł w posiadanie miasta, nie mógł pozostać w tyle. Odczuł to i zmienił się w mig do niepoznania! Któż z nas nie pamięta tej wielkiej, solidnej ale szpetnej, ogromnej sali, która w ostatnich latach gościła w swych nagich ścianach ujeżdżalnię, skating-ring, a na koniec kino po kinie! Gościł w niej i teatr ludowy wśród najcięższych warunków przez dyrektora Rygiera chlubnie prowadzony, męczył się w siedzibie nie odpowiadającej niczem warunkom scenicznym i warunkom bezpieczeństwa widzów i artystów wygodzie, jak również i komfortowi a tem mniej i sztuce. To też taki stan nie mógł dłużej pozostać, zwłaszcza że frekwencya z dnia na dzień wzrastała, a koszta dzierżawy i utrzymanie wadliwego gmachu obciążały niepomiernie budżet miejski i znaczne sumy pochłaniały. Prezydyum miasta przychyliło się do opinii i wniosków referenta spraw teatralnych, p. dr. Kannenberga, sekretarza prezydyalnego Magistratu, a gmina w dobrze zrozumianym interesie nabyła budynek starego teatru ludowego i, stawszy się jego właścicielką, jęła się iście z amerykańską chyżością i energią przeobrażenia znanej szopy na bezpieczną, wygodną i piękną salę teatralną.



Teatry miejskie w Krakowie: Projekty fasad przyszłego Teatru ludowego, wykonane przez architekta Zawiejskiego.

Doświadczony architekt teatru miejskiego Zawiejski, zaprojektował z urzędu, jako kierownik budownictwa miejskiego, plany przebudowy, które zatwierdzono w łonie prezydyum i magistratu. Profesor Jan Bukowski, wyborny nasz malarz, objął artystyczne malowanie sali, które wypadło ku ogólnym pochwałom i zadowoleniu. Znalazł się w budownictwie młody, energiczny inżynier, p. Krawczyński, który wydatnie kierował robotami na miejscu, ot i w przeciągu zaledwie kilkunastu dni teatr ludowy przebudowany, odnowiony i ozdobiony, otworzył swoje podwoje, przez które codziennie cisną się tłumy widzów, bo i nowy dyrektor teatrów miejskich, Grzymała Siedlecki, wprowadził nowy repertuar, uzupełnił personal i szczęśliwą ręką ujął ster instytucyi w swoje doświadczone ręce, dając początek nowemu sezonowi z równą miłością rzeczy w teatrze imienia Juliusza Słowackiego, jak i w ludowym.



Teatry miejskie w Krakowie: Architekt Jan Zawiejski.

Co do przebudowy dawnego teatru ludowego, warto wspomnieć o kilku zajmujących jej szczegółach. — Przedewszystkiem dawna sala nie miała żadnych drzwi z prawej strony, tak, że połowa widzów, to jest około czterysta osób, nie miała w razie pożaru lub paniki żadnego wyjścia na zewnątrz, aby życie uratować.

Tu użyto zaiste doraźnej operacyi! Wybito, jak się to mówi, bez żadnych ceremonii, dwoje szerokich bram na obcą sąsiednią parcelę, jak za czasów Horeszków i Sopliców, narażając się na prowizorya, procesa i t. p. rekryminacye — ale z drugiej strony zabezpieczono życie setkom bezbronnych ludzi! To też właściciel sąsiedniej parceli przebaczył „zajazd“, a oceniając cel tego wtargnięcia jako humanitarny i kulturalny, odstąpił w iście obywatelski sposób ową parcelę, to jest część ogrodu ochronki gminie miasta Krakowa. Ogródek ten będzie ślicznem miejscem wypoczynkowem dla widzów, a przytem tędy będzie prowadzić bezpieczne wyjście wprost na ulicę Szujskiego.

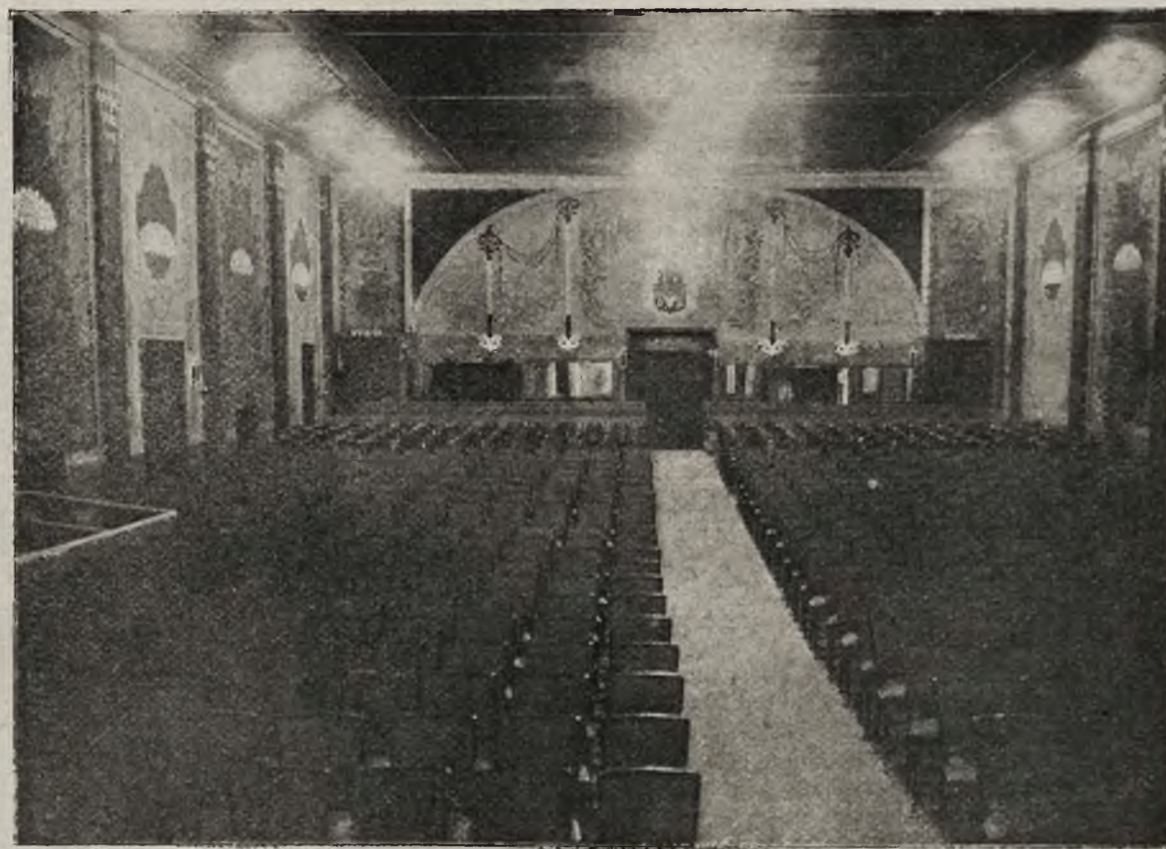
Ubieralnie artystów i artystek były marnymi zlepkami z desek, pułapkami na ludzi, z jednem jedynem zaledwie łokieć szerokiem wyjściem na świat! Przebudowano je też w mig w bezpieczne, wygodne garderoby damskie i męskie, wybito z nich szereg drzwi, wychodzących na brzegi przepływającej tu Młynówki, koryto jej na całą szerokość przykryto i stworzono tym sposobem placyk otwarty, bezpieczny, a nawet, dzięki starym krzewom, co nad Młynówką w ukryciu porosły, malowniczy, na którym gromadzą się aktorzy i aktorki, choćby i w kostyumach i wśród wolnych chwil od gry wypoczywają, oddychając świeżem powietrzem — ba, nawet próby sceniczne tu odbywać się mogą. Naturalnie, że w ślad za temi gruntownemi zmianami na lepsze poszły i inne liczne ulepszenia w oświetleniu, wentylacyi, w urządzeniu lóż i foteli, garderoby dla publiczności i t. d., tak, że nim miasto przystąpi do budowy wielkiego nowego teatru ludo-



Teatry miejskie w Krakowie: Projekty fasad przyszłego Teatru ludowego, wykonane przez architekta Zawiejskiego.



Teatry miejskie w Krakowie: Dr. Tadeusz Kannenberg, sekretarz prezydyum m. Krakowa, referent spraw teatralnych.

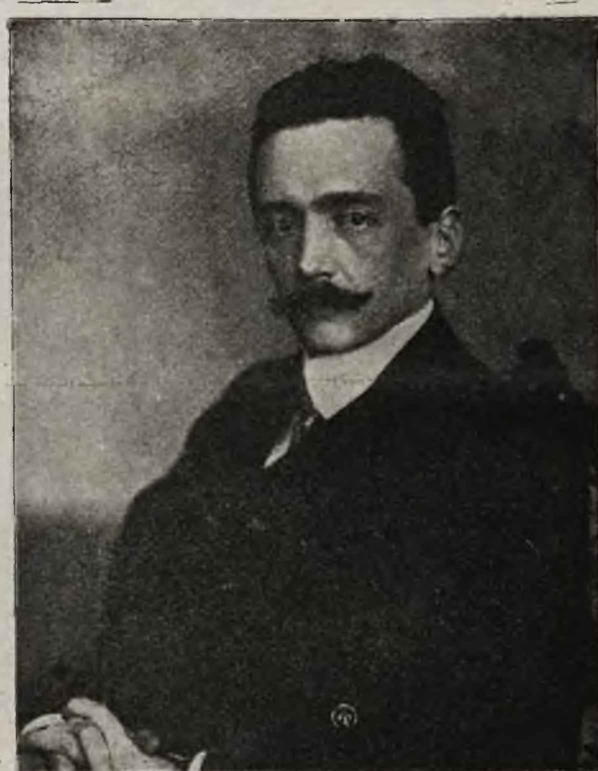


Teatry miejskie w Krakowie: Wnętrze przebudowanego Teatru ludowego przy ul. Rajskiej.

wego, na który w tekach budownictwa miejskiego spoczywa kilka projeków Zawiejskiego, z których zamieszczamy w dzisiejszym numerze dwa widoki fasad, jeden w kształcie szopki krakowskiej, drugi przypominający architekturę Barbakanu — dzisiejszy odnowiony teatr ludowy może jeszcze kilka lat spełniać swoje donośne kulturalne posłannictwo.

Obóz jeńców w Dąbiu.

Jedną z osobliwości współczesnej wojny jest wielka liczba jeńców. Miliony nieprzyjacielskich żołnierzy przebywa tak w Niemczech, jak i w Austryi, gdzie rozmieszczono ich w licznych obozach, rozrzuconych po całej monarchii... Są to formalne miasta, zaludnione różnojęzycznymi ludami, wchodzącymi w skład państw koalicyi. Jeden z takich obozów znajduje się w Dąbiu pod Krakowem. Daje on pojęcie o ogromie toczących się zapasów, które ogarnęły niemal świat cały. „Wojna narodów“ zgromadziła tam najrozmaitsze ludy i szczepy. Są tam Włosi, Serbowie, Macedończycy, a z olbrzymiego imperyum rosyjskiego nie brak żadnej narodowości. Obok Rosyan i Kozaków są tam Tatarzy, a nawet Koreańczycy z nad Oceanu spokojnego. Ta mozaika narodowościowa w obozie jeńców stanowi też doskonałe pole badań dla antropologów i etnografów.



Teatry miejskie w Krakowie: Prof. Jan Bukowski, twórca malowideł w przebudowanym Teatrze ludowym.

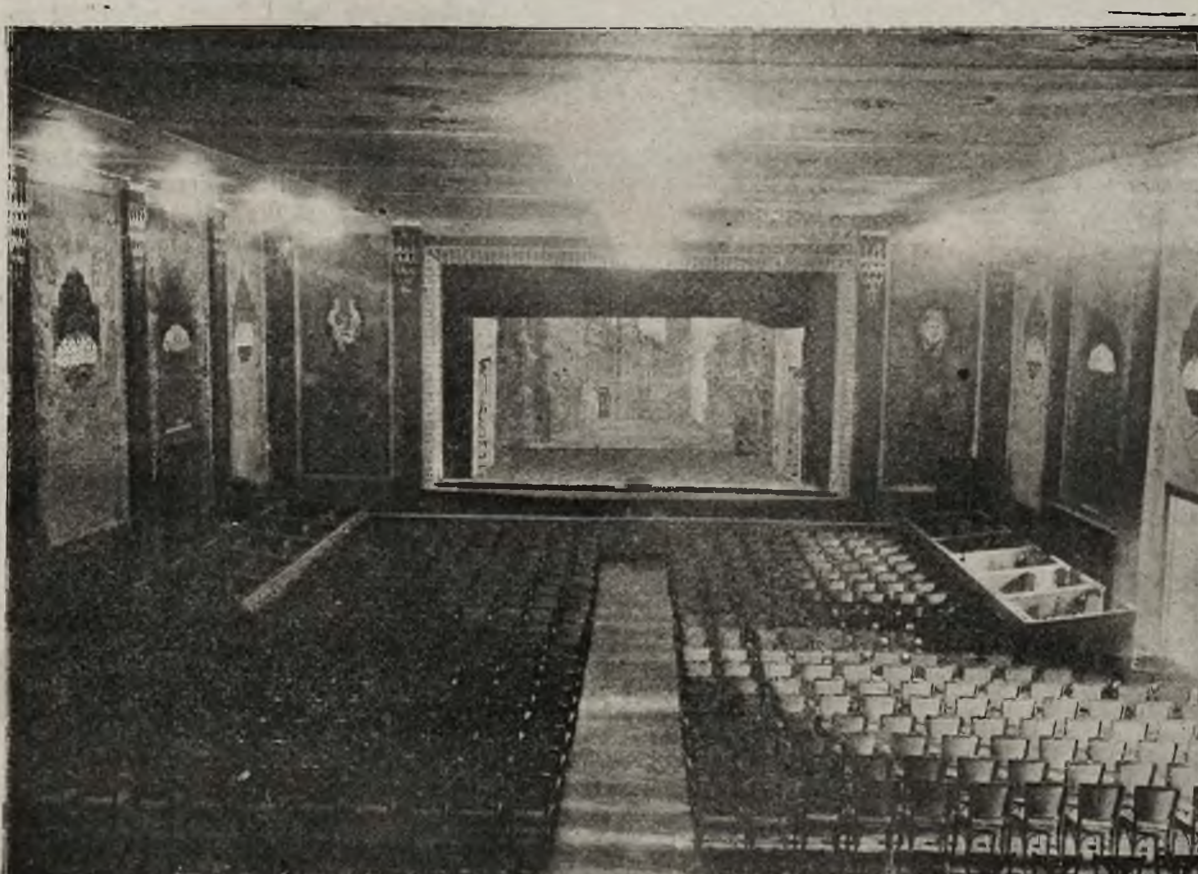
Zgromadzeni tam jeńcy żyją własnem życiem narodowem i religijnem. Władze austryackie okazują pod tym względem wielką tolerancyę i troskliwość. Dla prawosławnych i mahometan odprawiane są tam nabożeństwa przez ich duchownych. Kilka naszych illustracyi przedstawia właśnie to życie religijne w obozie jeńców w Dąbiu, mianowicie nabożeństwa prawosławne i mahometańskie.

Zarząd obozu stara się też zatrudnić jeńców, którzy chodzą na roboty rolne i do fabryk w okolicy, a w samym obozie zorganizowano warsztaty, w których jeńcy uczą się różnych robót, jak na przykład koszykarstwa.

Nie zapomniano także i o rozrywkach. Rozmaite gry, śpiew, a nawet tańce uprzyjemniają jeńcom życie w niewoli, a najliczniejsza grupa jeńców rosyjskich posiada nawet własny teatr, w którym jeńcy są aktorami i widzami.

Legiony na polu walki.

W poprzednich numerach pisaliśmy już o bohaterskich walkach Legionistów nad Stochodem. Jak ważną jednak misyę spełniły Legiony podczas ostatniej ofenzywy rosyjskiej, dają pojęcie zamieszczane obecnie w dziennikach obszerne epizody walk. — Z tych relacyi wyjmujemy barwny opis bitwy o Rudkę Miryńską, ogłoszony w pismach za pozwoleniem wojennej kwatery prasowej.



Teatry miejskie w Krakowie: Widownia i scena w przebudowanym Teatrze ludowym przy ul. Rajskiej.



Teatry miejskie w Krakowie: Inżynier Maryan Krawczyński, kierownik budowy i inspektor techniczny Teatru ludowego.

Już o godzinie czwartej rano w dniu 3 sierpnia artylerya rosyjska rozpoczęła ogień na cały front trzeciej brygady Legionów i sąsiadującej z nią na południe c. i k. dywizyi. Ogień wzmagał się coraz bardziej i osiągnął o godzinie siódmej wielką intensywność, trwając z niemniejszoną siłą, aż do południa. Strzelało na ten odcinek najmniej 5 – 6 ciężkich bateryj i kilkanaście polowych. Zwłaszcza na drugi pułk piechoty, stojący pod komendą Majora Mężyńskiego, skierowano ogień huraganowy, podczas gdy żołnierz szóstego pułku piechoty przechodził ciężkie godziny trwania w ogniu flankującym z dwóch stron. — Około godziny dziesiątej przed południem zgęszczono jeszcze ogień na odcinek czwartego pułku piechoty. Równocześnie doniosła sąsiadująca z prawej strony c. i k. brygada, że piechota nieprzyjacielska podsuwa się pod jej linię pod Rudką Miryńską.

Było więc jasnem, że Rosyanie zamierzają poważną akcyę, aby, przełamując front pod Rudką Miryńską, odwinąć sąsiadujące wojska i zmusić przez to cały front do odwrotu na Kowel.

Z frontu nadchodziły wieści niepokojące. Okopy były po największej części uszkodzone, pod eksplozyami ciężkich granatów zasypywały się, a częściowo nawet, jak na przykład w drugim pułku piechoty, zostały zrównane z ziemią. Straty zwiększały się, gdyż zniszczone rowy nie kryły już przed artyleryą. Służba łącznikowa ucierpiała znacznie przez zestrzelenie telefonów; to też jeźdźcy ordynansowi ciężką mieli służbę, przewożąc w gęstym ogniu meldunki i rozkazy.

Pułkownik Szeptycki wobec groźnej sytuacyi zarządził ostre pogotowie dla rezerw, składających się z dwóch batalionów, skombinowych z dwóch kompanii czwartego pułku piechoty, dwóch kompanii szóstego pułku piechoty i batalionu drugiego pułku piechoty kapitana Łukowskiego, stojących pod komendą majora Galicy, oraz dla drugiego pułku ułanów pod komendą rotmistrza Ostoi. Komenda Legionów skierowała trzeci pułk piechoty na środek odcinka trzeciej brygady.

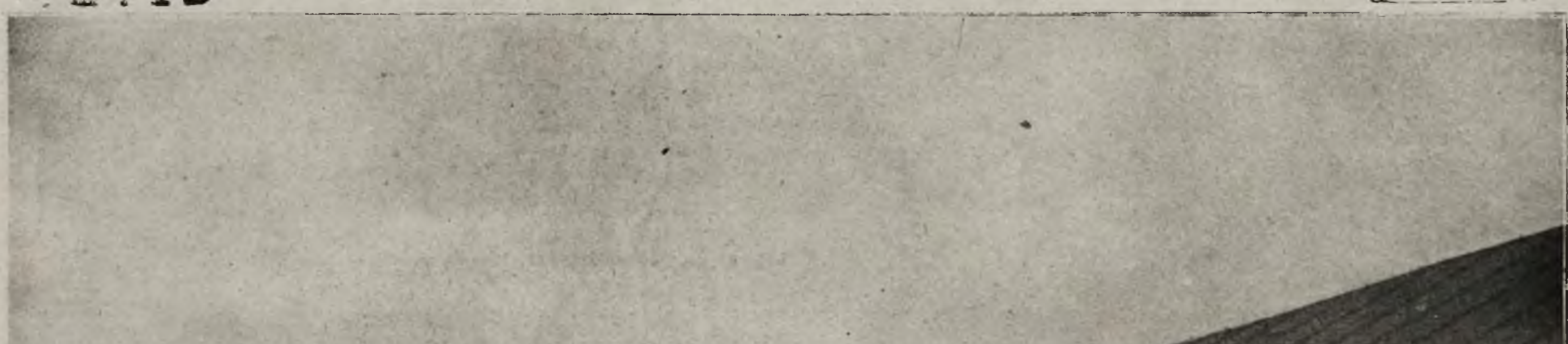
Pod Rudką Miryńską Rosyanie stali już pod drutami. W polu zgęścił się jeszcze ogień artyleryi nieprzyjacielskiej; także tyły pozycyi gęsto były ostrzeliwane. Z gwizdem i chichotem przelatywały ciężkie pociski nad stanowiskiem trzeciej brygady. Widocznem było, że atak nieprzyjacielski dojrzewa i nieprzyjaciel chce ogniem zaporowym uniemożliwić rezerwom marsz na zagrożony front.

O godzinie pierwszej piętnaście minut nadszedł meldunek, że Rosyanom udało się pod Rudką Mi-





Grupa Serbów. **Obóz jeńców w Dąbiu:** Macedończycy.



Obóz jeńców w Dąbiu: Szczepienie ochronne.



Obóz jeńców w Dąbiu: Jeńcy rosyjscy tańczą „kozaka"

cześnie artylerya otrzymała rozkaz wzmożenia ognia swego do największej siły. Wreszcie, gdy nakazane ugrupowanie do kontrataku było ukończone, pułk. Szeptycki wydaje rozkaz do uderzenia. W nieprzerwanym pędzie rzucają się linie naprzód. Białe rakiety wskazują artyleryi, aby przerzuciła ogień dalej. Wkrótce potem major Galica zajmuje swymi oddziałami zdobyte poprzednio przez nieprzyjaciela dalej na południe okopy. Równocześnie nadchodzi meldunek, że i Rudka Miryńska w większej części odzyskana.

Nieprzyjaciel stawia jeszcze gdzieniegdzie zaciekły opór, nie wytrzymuje jednak i rychło pierzcha w nieładzie, ponosząc ogromne straty w rannych i zabitych oraz w karabinach maszynowych. Przeciwatak, prowadzony z największym impetem, tak rychło odrzucił nieprzyjaciela, że pułkownik Szeptycki nadesłane mu przez komendę Legionów dalsze posiłki, nie używając, pozostawił w rezerwie swojej na wypadek nowego natarcia. Również pod Sitowiczami rozpoczęty na grupę pułkownika Hallera atak zatrzymał się w krótkim czasie w ogniu artyleryi.

Tak dzień 3 sierpnia, który do południa był dla frontu nad Stochodem w wysokiej mierze groźnym, skończył się pełnem zwycięstwem, dzięki niezłomnemu trwaniu Legionów w krytycznych chwilach i pełnemu brawury, niczem niepowstrzymanemu impetowi, z jakim oddziały szły do kontrataku.

ryńską przejść przez druty i zająć okopy. Linia sąsiedniej c. i k. Brygady cofnęła się za wieś, a nieprzyjaciel w pierwszym impecie przeszedł pod nią rzeczkę Stawok i zagrażał, prąc wielkiemi masami naprzód, już nie tylko prawej flance, lecz i tyłom trzeciej brygady. Czwarty pułk piechoty doniósł, że widzi nowe kolumny piechoty nieprzyjacielskiej, eskortowanej i popędzanej przez Kozaków, zdążające w wybitą we froncie lukę.

Sytuacya była nader krytyczna. Jeżeli trzecia Brygada Legionów utrzyma się na swem stanowisku aż do przybycia rezerw, położenie da się może poprawić przez kontratak; gdy jednak grupa pułk. Szeptyckiego cofnie się, front zostałby zwinięty, gdyż



Legiony na polu walki: Przy budowie nowych okopów.



Legiony na polu walki: Obserwowanie nieprzyjaciela z okopów.

przerwa byłaby zbyt wielką, aby ją zamknąć. W tym wypadku nie dałoby się już utrzymać frontu nad Stochodem i cała armia musiałaby się cofnąć za Kowel i Turyę.

Komenda Legionów oddała nadesłane przez nią rezerwy pod komendę pułk. Szeptyckiego, powierzając mu całą akcyę na zagrożonym odcinku Legionów i zawiadomiła, że dalsze rezerwy nadchodzą, polecając kontratak z ich nadejściem. W pełnem zrozumieniu doniosłości swego trudnego zadania dla frontu całej armii skierował pułk. Szeptycki drugi pułk ułanów pod komendą rotm. Ostoi do wsparcia przełamanego frontu, a pułk. Roja, którego prawe skrzydło już przez Rosyan było okrążone, otrzymał rozkaz odchylenia zagrożonego skrzydła i bezwzględnego utrzymania się na tym zmienionym froncie. Jedno-



Obóz jeńców w Dąbiu: Jeńcy przy robotach koszykarskich.

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

8

Chartton uśmiechał się tryumfująco. Widocznem było, że zadowolony był ze siebie. Ja sam uczułem nagle wielkie uznanie dla jego strategicznych zdolności, które od pierwszego kroku pozwoliły nam odkryć schronienie człowieka, tak chciwie przez nas poszukiwanego. Bo przecież ten wspólnik Ludovica Marmont zdziałał sam we własnej osobie więcej, niż nieuchwytny szef całej bandy. On to ułatwił zamordowanie d'Orwalda i przyczynił się do usunięcia jego zwłok, a następnie wykradł papiery profesora Schoettena i ulotnił się sam w niewiadomym kierunku. Zwróciliśmy się od okna ku Charttonowi i Tharps już zamierzał mu zadać jakieś pytanie, kiedy hałas jakiś, dobiegający z oświetlonego okna, skierował naszą uwagę w tę stronę. Ktoś usiłował otworzyć to okno i w tym człowieku rozpoznaliśmy wszyscy markiza Santa Cruza. Już teraz nie mogło być najmniejszej pomyłki, bo twarz jego ujrzeliśmy w jasnem świetle, bijącem z pokoju. Musiał i on nas dostrzedz, bo nagle odskoczył od okna i rozpaczliwym ruchem wzniósł ramiona do góry.

Równocześnie światło w pokoju zagasło i usłyszałem Charttona mówiącego niespokojnie:

— Przyszliśmy w samą porę! Jeszcze chwila, a cały nasz trud byłby daremny.

— Co teraz zrobimy? — zapytałem.

Chartton w odpowiedzi podszedł do najbliższych drzwi, wyjął z kieszeni pęk kluczów i haczyków i w mgnieniu oka otworzył zamek.

Huxley i ja skoczyliśmy naprzód, ale Tharps zatrzymał nas i stanął w progu.

— Spokojnie, spokojnie — wyrzekł stanowczym głosem. — Panie Chartton, proszę wejść pierwszy.

I to, co nastąpiło później, było tak fantastyczne i nieoczekiwane, że teraz jeszcze, kiedy o tem myślę, uwierzyć mi w to nie łatwo. Jednym szalonym skokiem Chartton, potrącając Tharpsa, znalazł się w ciemnym zupełnie pokoju i odniosłem wrażenie, że mój przyjaciel, który widocznie nie był przygotowany na tę niespodziankę, całą siłą starał się pochwycić go i zatrzymać. Nie udało mu się to jednak, bo zaklął głośno i skoczył za nim do środka.

Przeczuwając instynktownie coś złego, pospieszyłem wraz z Huxleyem za nim.

W tej samej chwili długi snop światła padł z ukosa na pokój. Pochodził on z pokoju, znajdującego się obok, którego drzwi ktoś nagle otworzył. W jasnej tej smudze ujrzałem Tharpsa z wyciągniętą do góry ręką i równocześnie rozległ się donośny odgłos dwóch strzałów. Z za drzwi zaś, już teraz zamkniętych, dobiegł nas wybuch ironicznego śmiechu i szepty stłumione.

Przez dłuższą chwilę Tharps, Huxley i ja dobijaliśmy się z wściekłością do drzwi zamkniętych. Ale wysiłki nasze nie odniosły żadnego skutku.

— Zadrwiono sobie z nas! — zawołał wkońcu Tharps, dysząc ciężko. — Ach! kanalie! Gdybym tak teraz którego pochwycił w ręce!

Zapalił zapałkę i podszedł do drzwi, któremi weszliśmy.

— Zamknięte! — rzucił przez zaciśnięte zęby.

— Co mówisz? — zawołałem zdumiony, podchodząc spiesznie do niego.

— Ładnie nas urządzili! Co?

— Ależ to niemożliwe!

— Zapominasz, że mamy do czynienia z Ludovicem Marmontem — odparł poważnie Tharps.

— Przy pomocy zaświeconej zapałki szukał czegoś przez chwilę na podłodze, a kiedy się podniósł, ujrzałem w jego ręce dwie gilzy od wystrzelonych nabojów.

— Gdybym chociaż trafił był którego — szepnął ze złością.

Teraz dopiero spostrzegłem, że Charttona niema między nami.

Jasnem teraz było, że on to nas wprowadził w zasadzkę. Przypomniałem sobie ostrożność, podjętą przez mojego przyjaciela i rozkazy wydane, aby Chartton pierwszy wszedł do pokoju i zrozumiałem, że do ostatniej chwili nie był pewnym tego nowego sprzymierzeńca, nasłanego nam przez dobrodusznego Huxleya.

Ale napróżno usiłowałem zrozumieć obecność markiza da Santa Cruza w tem miejscu.

Drzwi pokoju, w którym nas zamknięto, były umocnione sztabami żelaznemi, zarówno jak i okna. Niepodobieństwem było stąd się prędko wydostać.

Wiliam Tharps nacisnął lampkę elektryczną, wyjętą z kieszeni i przy tem bladem oświetleniu przyglądał się ze zmarszczoną brwią kulom trzymanym w ręce.

Najwięcej zdumionym z nas trzech był zapewne Huxley. Biedak nie mógł pojąć, w jaki sposób daliśmy się wciągnąć w zasadzkę, urządzoną przez Charttona, człowieka, którego obdarzał pełnem zaufaniem. Zmieszany i zgnębiony usiłował tłumaczyć się przed Tharpsem, lecz ten natychmiast przerwał jego wywody.

— Niepotrzebnie się tłumaczysz, mój kochany — rzekł, kładąc rękę na ramieniu ajenta. — Przychodząc tutaj, wiedziałem, co nas spotka.

Huxley zaskoczony temi słowami nie wiedział co mówić.

— Jakto? — rzekł po długiej chwili milczenia — Pan wiedział, że Chartton...

— Zdradzi nas — dokończył Tharps. — Tak, mój kochany, wiedziałem o tem, a właściwie domyśliłem się. Stało się to w chwili, kiedy opuszczaliśmy restauracyę i rozeszliśmy się, ty z Charttonem, ja z moim przyjacielem, aby się zejść w kawiarni „pod Czerwonym Królikiem“. Odtąd zacząłem podejrzywać twojego protegowanego.

— Czy być może — zdziwił się Huxley, cofając się ze zdumieniem. — A jednak przyszedł pan na umówione miejsce schadzki.

— Właśnie dlatego przyszedłem — rzekł dobitnie Tharps.

— Nie rozumiem pana, panie Tharps.

Detektyw uśmiechnął się niedbale.

— Przyznaję jednak, — zaczął znowu — że nie spodziewałem się, iż pozwolę się podejść w tak głupi sposób. Przez cały czas obserwowałem ptaszka i trzymałem palec na cynglu mojego „Webley'a“, z którym się nigdy nie rozłączam. I gotów byłem w każdej chwili zagrać w otwarte karty. Ale Chartton posłużył się sztuczką, której przewidzieć w żaden sposób nie mogłem.

Tharps, mówiąc to, wyciągnął papierosa i zapalił go najspokojniej, tak, jak gdyby znajdował się w swoim gabinecie.

— Wiedziałem tylko jedno na pewno, o co mogłem się założyć, że ten Chartton tu nas przyprowadzi, a mnie o to tylko na razie chodziło, bo chciałem tu spotkać zbiegów z pensyonatu „Donay“.

Podziwiałem w duchu zimną krew i równowagę umysłu Tharpsa.

— Czy dla tej pewności powiedziałeś mi przed godziną, kiedy opuścił nas ten nieznajomy człowiek, który rozmawiał z tobą, że nic ci nie jest w stanie przeszkodzić w dzisiejszej ekspedycyi? — zapytałem ciekawie?

— Dlatego — odparł Tharps. — Rezultat jednak, niestety, okazał się niezgodnym z mojemi nadziejami.

Oddalił się o parę kroków od nas i zamyślił się głęboko. Nieszczęsny Huxley patrzał na niego z pokorną bezradnością.

— Jakże my się wydostaniemy stąd, panie Tharps? — zapytał nieśmiało.

Tharps zwrócił ku nam twarz już pogodną i uśmiechniętą.

— Obawiałem się tej zasadzki — odrzekł — i uzbroiłem się przeciw niej.

— W jakiż sposób? — zawołałem zdumiony, odgadując, że Tharps już kombinuje jakiś plan ratunku.

— W ten sposób, iż kazałem jednemu z moich ajentów iść krok w krok za nami i że zapewne on wie obecnie, gdzie się znajdujemy — i, jak przypuszczam, najdalej za godzinę dom ten otoczony zostanie, a my wydostaniemy się na wolność.

— Oh! — westchnął ciężko Huxley — Gdyby słowa pana ziściły się!

— Zdaje mi się, że tracisz wiarę w siebie i w nas, Huxleyu! — rzekł Tharps, patrząc mu surowo w oczy — To źle, mój kochany! Myśmy z moim przyjacielem już w gorszych byli sytuacyach — a to śmieszne uwięzienie nas nie może mnie z równowagi wyprowadzić. — Jednej tylko rzeczy żałuję gorąco, że pozwoliłem Charttonowi uciec wraz z jego wspólnikiem.

— Czy pan mówi o markizie hiszpańskim, panie Tharps.

— Oczywiście. I nie mam nadziei spotkania się z nimi przed naszem stąd odejściem.

Huxley zaklął głośno.

— Gdybym był mógł przewidzieć, że ten człowiek należał do bandy Marmonta! Byłbym ręczył za niego, jak za siebie samego! A to kanalia! Tak mnie podejść zdradziecko! Nie radzę mu stanąć więcej na mojej drodze.

— Spokoju, spokoju. Huxleyu! Gniew twój tu nic nie zmieni! — zauważył Tharps — Opowiedz mi lepiej, w jaki sposób doszedłeś do znajomości z Charttonem. Według mojego obliczenia, mamy jeszcze przed sobą dobrą godzinę czekania. Skrócisz nam ją, opowiadając o tym przeklętym Chartonie.

Podpis Marmonta.

Huxley, zrezygnowany i uspokojony trochę zachowaniem się mojego przyjaciela, odetchnął głęboko i rozejrzał się po pokoju.

— Do dyabła! — mruknął — Żeby chociaż nam byli tu zostawili krzesło jakie, albo ławkę...

— Obejdziemy się doskonale bez tego — odparł Wiliam, siadając na podłodze — Radzę wam to samo uczynić, bo może niedługo sił naszych potrzebować będziemy. No, mów Huxley, jakże to było z tym Charttonem.

— A no, — zaczął ajent, siadając obok Tharpsa — poznałem go w tym czasie, kiedy to pracowałem na rachunek Sretera w sprawie okradzenia willi majora Hurley'a. Charton przybył do Francyi z rekomendacyą londyńskiego detektywa i tu spotkaliśmy się. Zdawało mi się, że był dobrze poinformowany o sprawcach tego włamania i działał z pewnością siebie i znajomością rzeczy, która mi się bardzo podobała. — Pomimo tego widziałem go wszystkiego dwa razy, ale kiedy pan, panie Tharps, wspomniał mi o indyjskim pierścieniu, pomyślałem zaraz, że Chartton może być nam bardzo pomocnym, bo znał dokładnie wszystkie kosztowności skradzione majorowi i raz nawet wspominał mi, że pomiędzy niemi znajduje się stary pierścień, wielkiej wartości artystycznej. Któż mógł przypuszczać, że on sam należał do tej szajki?

— To pewne, — zaśmiał się mój przyjaciel — że mając do pomocy takiego ptaszka, biedny Sreter nie mógł łatwo dojść do dobrego rezultatu.

Rozmawialiśmy na ten temat jeszcze czas jakiś, zdenerwowani i niespokojni, baczni na każdy szmer, dobiegający z domu. Przymuszałem się, aby pozornie zainteresować się opowiadaniami Huxleya i nie zdradzić się z niepokojem, wzrastającem z każdą chwilą.

Minuty mijały, a obiecana przez Tharpsa pomoc nie nadchodziła. Zacząłem już nawet tracić nadzieję co do tej bardzo problematycznej pomocy i zniechęcenie silne zastąpiło pierwotną moją wiarę i energię.

Tharps milczał, paląc papierosa, a myśli jego nie musiały być również bardzo pogodne, bo od czasu do czasu zrywał się z podłogi i nerwowym krokiem przebiegał pokój. Po jakimś czasie uczułem dziwną ociężałość i niemoc rozchodzącą się po całem mojem ciele, lękałem się jednak zdradzić się z tem uczuciem przed moimi towarzyszami, aby nie powiększyć ich zdenerwowania.

Drzwi i okna sali, w której uwięziono nas, musiały być szczelnie zabezpieczone, bo żaden głos, czy szmer nie dochodził do nas. Myślałem nad tem, w jaki sposób zbawcy, na których tak oczekiwaliśmy, będą mogli się dostać do tego pokoju, lub przynajmniej dać znać o swojej obecności. My zaś z naszej strony nie mogliśmy przedsięwziąć żadnych kroków dla uwolnienia się.

Rozmowa, dosyć ożywiona z początku, zaczęła się rwać. Zauważyłem, że Huxley, który jeszcze niekiedy rzucał jakie słowo, wyrażał się z trudnością, jak gdyby coś paraliżowało dźwięk jego głosu.

Ja zaś czułem w nogach swoich niemoc coraz większą, przechodzącą w ból tępy. W pierwszej chwili wziąłem to na karb zmęczenia; powstałem z podłogi, aby rozruszać się trochę, ale w żaden sposób nie mogłem krokiem naprzód postąpić. Nogi uginały się podemną, pozbawione czucia i odporności.

Równocześnie zauważyłem, że i moi towarzysze byli pod tem samem wrażeniem. Upłynęło jeszcze parę minut. Usiłowałem całą mocą woli opanować się i rozumować logicznie, pomimo, że w głowie szumiało mi jak po wypiciu butelki mocnego wina. Walczyłem jeszcze czas jakiś z ogarniającem mnie omdleniem, wkońcu straciłem zupełnie przytomność umysłu i odtąd nie wiedziałem, co się dalej działo. Kiedy otworzyłem oczy, znalazłem się w pokoju wytwornie umeblowanym i bardzo jasno oświetlonym. Długa chwila upłynęła, zanim zrozumiałem, że światło to pochodziło od słońca, bijącego silnymi promieniami w zamknięte okna. Leżałem jeszcze czas jakiś, czując, że przytomność powraca mi zupełnie. Próbowałem poruszyć się na łóżku. Z dawnej niemocy i ociężałości nie było już śladu, pozostało tylko lekkie osłabienie. Zerwałem się więc z łóżka i pobiegłem do okna, chcąc się przekonać, gdzie się znajduję. Ujrzałem park zalesiony gęstemi drzewami i trawniki zielone, rozciągające się daleko. Czyżbym

się znalazł z powrotem w Saint-Mande? W pensyonacie pani Donay? Spojrzałem raz jeszcze uważniej przez okna i przekonałem się, że byłem w jakimś nieznanym mi domu.

Ale w jaki sposób dostałem się tutaj? Co się stało z Wiliamem Tharpsem i Huxleyem? Czy również wydostali się z pokoju, gdzie zostaliśmy zamknięci?

Pamiętałem tylko, że w pewnej chwili straciłem przytomność i nic nie wiedziałem z tego, co nastąpiło dalej. O faktach zaś poprzedzających moje omdlenie przypomniałem sobie z trudem, czując jeszcze jakąś dziwną próżnię w mózgu.

Coś jednak nadzwyczajnego stać się musiało, skoro wolny i swobodny znajdowałem się w tym sympatycznie umeblowanym pokoju — zdala od na szych przeciwników i wszelkiego niebezpieczeństwa. Zapewne pomoc oczekiwana przez Tharpsa nareszcie nadejść musiała i dopomogła do uwolnienia nas wszystkich.

Po chwili zacząłem się bacznie przyglądać pokojowi, w którym leżałem. Urządzenie jego było nadzwyczajnie staranne i efektowne. Meble stylowe, pokryte ciężkim wytłaczanym pluszem, ściany przyozdobione cennemi malowidłami, a na filigranowych etażerkach pełno cacek wykwintnych i książek w kosztownej oprawie. Powstałem powtórnie z łóżka, obejrzałem tytuły tych dzieł nęcących mnie już zdaleka i wydałem mimowolny okrzyk zdumienia.

Były najwidoczniej przygotowane do mojego osobistego użytku, gdyż po największej części traktowały o przedmiotach interesujących mnie szczególnie w zakresie obranego przezemnie fachu: rozprawy prawne, odczyty, studya nad kryminalistyką nowoczesną, dokumenta ciekawe i tak dalej.

Pod oknem na stoliku zauważyłem pióra, kałamarz, kartki przygotowane i zachęcające do pisania. Ten ostatni szczegół wydał mi się jakiemś ironicznem wyzwaniem. Czy miałem spisywać wrażenia tej przeklętej awantury, w którą weszliśmy razem z Tharpsem. Przy łóżku zaś na fotelu leżało rozłożone starannie ubranie, które pozostawiłem dnia poprzedniego w gabinecie mojego przyjaciela — zamieniając je na charakterystyczny kostyum apasza.

Nie dziwiąc się już niczemu, bo obecność moja tutaj ogłuszyła mnie zupełnie — ubrałem się w nie flegmatycznie, oczekując dalszego ciągu tej tajemniczej historyi. Ciekawość mnie jednak męczyła, aby rozpoznać lepiej otoczenie, w którem się znajdowałem.

Usiłowałem otworzyć okno, ale mi to się w żaden sposób nie udało. Zasuwki były tak nieruchome, jakgdyby nigdy nie służyły do podobnego użytku.

Pobiegłem do drugiego okna, ale i tu czekało mnie podobne rozczarowanie. Wściekły i zaniepokojony, szarpnąłem całą siłą klamkę u drzwi. Nie poruszyła się nawet.

Cóż to wszystko znaczyć mogło?

Lękałem się, czy nie dostałem pomieszania zmysłów. Wtem drzwi znajdujące się w drugiej ścianie, ukryte za ciężkiemi portyerami, otworzyły się bez szmeru, najmniejszego szmeru i w progu stanął służący w liberyi. Niósł na srebrnej tacy kompletną zastawę do śniadania, którą w milczeniu ustawił na stoliku. Była tam herbata, szynka, jaja na miękko, grzanki, masło i owoce.

Tak delikatnie przewidującym mógł być tylko mój przyjaciel Tharps. Myśl ta uspoiła mnie cokolwiek i dodała odwagi. Nie mogłem sobie tylko wytłumaczyć, dlaczego w takim razie drzwi i okna pokoju były tak szczelnie zamknięte.

— Gdzież jestem — zapytałem służącego, który stał przedemną w służalczej postawie — i dlaczego te drzwi...

Urwałem nagle zdumiony.

Służący śledził uważnie poruszenie moich ust i wymownym giestem dotknął swojego ucha i warg. Głuchoniemy! Miałem przed sobą głuchoniemego.

Szalona wściekłość ogarnęła mnie, a kiedy oprzytomniałem cokolwiek, służącego już w pokoju nie było! Już teraz nie wiedziałem, co sądzić o tem szczególnem wydarzeniu. Instynktownie rzuciłem się ku drzwiom ukrytym i pochwyciłem za klamkę. I te drzwi były zamknięte!

Zakląłem głośno i uczułem szaloną chęć niszczenia wszystkiego koło siebie. Pochwyciłem tacę z zastawą i już ją miałem zmiażdżyć o te przeklęte drzwi, nie otwierające się przedemną — kiedy posłyszałem dyskretne pukanie, trzykrotnie powtórzone.

Był to zwykły sposób Tharpsa anonsowania się do mnie.

Czatowałem u progu, gotując się zwymyślać go porządnie za te drzwi, które były powodem tak silnego mojego zdenerwowania.

Kiedy je otworzył i ukazał się na progu, skoczyłem do niego, krzycząc ze złością:

— Co ma znaczyć ta komedya, Wiliamie i dlaczego zadrwiono sobie w ten sposób ze mnie?

Tharps uśmiechnął się życzliwie, co jeszcze bardziej spotęgowało moje rozdrażnienie.

— Czy nie zechcesz odpowiedzieć na moje pytanie? — zawołałem, postępując ku niemu.

Wiliam uśmiechnął się po raz drugi i flegmatycznie usiadł na kanapie.

— Czyżby cię mój widok tak denerwował, Synhamie — odparł po chwili, powoli ważąc słowa — lub może niezadowolony się czujesz ze śniadania, jakie ci przed chwilą podano?

— Przestań żartować, proszę cię — rzekłem dobitnie — odpowiedz lepiej. Dlaczego te drzwi nie funkcyonują dla mnie specyalnie.

Tharps roześmiał się głośno.

— Bo nie umiałeś ich otworzyć, stary głupcze.

— Co? Co ty mówisz.

— Chodź, przekonam cię zaraz, że zachowujesz się względem mnie, jak dzieciak uparty.

Podszedł do drzwi i lekko nacisnął klamkę. Ku wielkiemu mojemu zdumieniu drzwi otworzyły się natychmiast.

— Co to ma znaczyć? Nic nie rozumiem! — zawołałem, cofając się ze zdumieniem. — Dlaczego ja tych drzwi otworzyć nie mogłem?

— Bo nie byłeś obznajomiony z funkcyonowaniem tej klamki. Należy ją nacisnąć nieznacznie, następnie skręcić w lewą stronę. Oto cały sekret.

Uczułem się tak zawstydzony moim niewczesnym wybuchem, że nie śmiałem oczu podnieść na niego. Jakże ja mogłem nie wpaść na tak łatwą manipulacyę? Przecież już widziałem drzwi otwierające się w ten sposób. Musiałem być bardzo podniecony i wściekły, jeżeli nie wpadłem na tak łatwą kombinacyę.

Pobiegłem do drugich drzwi, lecz Tharps przeszkodził mi w wykonaniu mojego zamiaru.

— Nie fatyguj się napróżno. — zawołał — Tamte drzwi są naprawdę zamknięte i nie otworzą się tak prędko. Mogą się tylko otworzyć od wewnętrznej strony i to przy pomocy specyalnego klucza. System ten jest mi dobrze znany.

— I dlaczegóż te drzwi są zamknięte? — zapytałem niespokojnie.

— Bo jesteśmy więźniami — odpowiedział Tharps flegmatycznie, sadowiąc się wygodnie na fotelu.

Popatrzyłem na niego osłupiałym wzrokiem, nie wiedząc, czy żartuje ze mnie, czy też mówi na seryo.

— Więźniami? Więc my jesteśmy tutaj więźniami? Jakże się to stać mogło? Czyż pomoc obiecywana przez ciebie nie nadeszła? Ten pseudo-markiz i jego wspólnik okazali się widocznie silniejsi od ciebie, Wiliamie?

— Mylisz się, mój kochany. Jesteśmy tutaj u Ludovica Marmonta. Ale ta wiadomość nie powinna źle działać na twój apetyt. Herbata twoja stygnie. Siadaj i zjedz śniadanie.

Poszedłem za jego radą i usiadłem przy stole. Tharps zaś umieścił się naprzeciw mnie i zaczął mi opowiadać całą historyę.

Tak samo jak i ja, on i Huxley uczuli ciężkość i niemoc ogarniającą ich stopniowo. Tharps jednak okazał się z nas wszystkich najodporniejszy. Mógł jeszcze czas jakiś obserwować na nas symptomata tego szczególnego odrętwienia i odgadnąć jego przyczynę.

Rozpoznał więc, interesując się zawsze i studyując podobne objawy z punktu fachowego, że uśpieni zostaliśmy zapomocą silnych narkotyków, rozpylonych po pokoju.

Doszedłszy do tej pewności i przekonawszy się, że walka lub jakiekolwiek przeciwdziałanie w tym względzie jest niemożliwe — zrezygnowany położył się na podłodze obok nas i oczekiwał cierpliwie tego przymusowego uśpienia.

— No, ale co potem się stało z tobą? Skąd się tu wziąłeś — zapytałem zaciekawiony.

— Przed godziną może obudziłem się tak samo, jak i ty, w pokoju identycznie podobnym do twojego, również niepewny, jak ty, co do miejscowości, gdzie się znajduję, nie wiedząc absolutnie nic, co się stało z tobą i Huxleyem.

— Ależ to zakrawa na bajkę! — zawołałem rozdrażniony. — Pomyśleć, że jesteśmy na łasce tych nędzników!

— Kiedy przebudziłem się — mówił dalej Tharps — wstałem i ubrałem się i zaledwie ukończyłem tę czynność, kiedy wszedł do pokoju służący, niosąc śniadanie. Śniadanie moje różniło się tylko od twojego dodaniem beefsteacku po angielsku. Widocznie Marmont musiał być dobrze poinformowany o moich przyzwyczajeniach i gustach. Ten szczegół właśnie naprowadził mnie na przypuszczenie, że jestem gościem mojego przeciwnika. Na stoliku zaś obok łóżka znalazłem pudełko moich ulubionych papierosów „Muratti".

— To są jeszcze słabe dowody — zauważyłem. — Może ty się mylisz, Wiliamie. Kto wie, czy nie znajdujemy się w gorszych jeszcze rękach.

Tharps przecząco potrząsnął głową.

— Nie mam żadnych wątpliwości pod tym względem, mój kochany. Gdybyśmy byli w innych rękach, tak, jak przypuszczasz, to nie siedziałbyś teraz tak wygodnie przy śniadaniu, rozmawiając ze mną. — Przypomnij sobie, że Ludovico Marmont nie zabija nigdy podstępnie swoich przeciwników.

— A jednak nie cofnął się przed zamordowaniem d'Orwalda — odpowiedziałem.

Tharps wypuścił z ust kłąb gęstego dymu i spojrzał na mnie poważnie.

— Co my o tem wiedzieć możemy — rzekł dobitnie. — Czy mamy pewność jaką?

— Jakto, co wiemy! — zawołałem z oburzeniem. — Ty chyba szalony jesteś, szalony, Wiliamie. Przecież to nikt inny nie mógł uczynić, tylko Marmont! Mogliśmy czas jakiś wątpić, że ten bandyta należał do tej sprawy, ale od wczoraj chyba mogliśmy nabrać pewności.

Chciałem dalej mówić, kiedy w tej chwili zapukano do drzwi.

— Proszę wejść — rzekł Tharps.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł służący, niosąc bilet na srebrnej tacy. Nie przemówiwszy ani słowa, złożył bilet na stole i cofnął się o kilka kroków, widocznie oczekując odpowiedzi.

Tharps przeczytał bilet i podał mi go.

Skreślone na nim były następujące słowa:

„Ludovic Marmont prosi panów Wiliama Tharpsa i Synhama o wybaczenie przymusowej gościny, narzuconej im i zapytuje, czy może mieć zaszczyt być przyjętym przez nich".

Byłem oburzony do najwyższego stopnia! Tharps zaś uśmiechnął się.

Wyjął z portfelu bilet swój własny, skreślił na nim parę słów i położył na tacy. Służący podszedł natychmiast, zabrał tacę, kłaniając się głęboko i wyszedł z pokoju.

— Jaką mu dałeś odpowiedź, Wiliamie? — zapytałem.

— Bardzo krótką: „Oczekujemy pana".

— Nie rozumiem cię, doprawdy — żachnąłem się. — Jaki masz cel w widzeniu się z tym człowiekiem?

— A dlaczegóż mam odmówić jego prośbie? — odparł Tharps. — Czy dlatego, że Ludovic Marmont jest chwilowo naszym zwycięzcą? Nie, nie, mój kochany, nie zgadzam się z tobą. On z nami zupełnie lojalnie postępuje. Inny na jego miejscu nie omieszkałby z całą pewnością wykorzystać tak dobrej sposobności i zabezpieczyć sobie na zawsze nasze milczenie i bezkarność. Ludovic Marmont jest dla nas niebezpiecznym przeciwnikiem, to wiemy, ale i my dla niego również.

— Zapewne — bąknąłem — na postępowanie jego względem nas skarżyć się nie możemy.

— Zważ jeszcze, Synhamie — przerwał mi Tharps, że on wie dobrze, iż wszystkie moje usiłowania i zręczność są skierowane do nieodwołalnego zgubienia go. Wie, że ścigać go będę aż do stóp gilotyny, aby pomścić społeczeństwo, przez niego tak długo krzywdzone, że między nami to walka na śmierć, wydana jawnie i otwarcie. A pomimo wszystko okazuje mi pewne szlachetne względy, zatrzymuje mnie tylko na czas pewien uwięzionego, w tym celu tylko, abym nie pokrzyżował jego dalszych planów. Zdaje mi się, że w tych warunkach postąpiłbym bardzo nieładnie, gdybym odmówił jego prośbie.

— Zapewne masz słuszność — odpowiedziałem. — Ale powiedz mi, Wiliamie, dlaczego tak cichym głosem odpowiedziałeś na pukanie służącego. Byłem pewny, że nie usłyszy twojego wezwania.

— Zauważyłeś to — uśmiechnął się Tharps. — Wiedz o tem, że tu niepotrzeba wcale mówić głosem donośnym, aby być usłyszanym.

Mówiąc to powstał i wskazał mi ręką dwa małe instrumenty, tak zręcznie osadzone w ścianie pokoju, że dotąd dostrzedz ich nie mogłem.

Były to dwa aparaty mikrofoniczne.

— Widzisz więc, że nasz gospodarz przedsięwziął wszelkie środki ostrożności.

W tej samej chwili dał się słyszeć w aparatach jakiś dźwięk metaliczny, jak gdyby kto je zamykał na zewnątrz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wyścigi kolarskie w Krakowie.

Staraniem krakowskiego Klubu cyklistów i motorzystów odbyły się w niedzielę dnia 24 września, na drodze Podgórze—Borek Fałęcki—Mogilany—



Wyścigi kolarskie w Krakowie: P. Gnojek, zwycięzca w biegu o mistrzostwo.

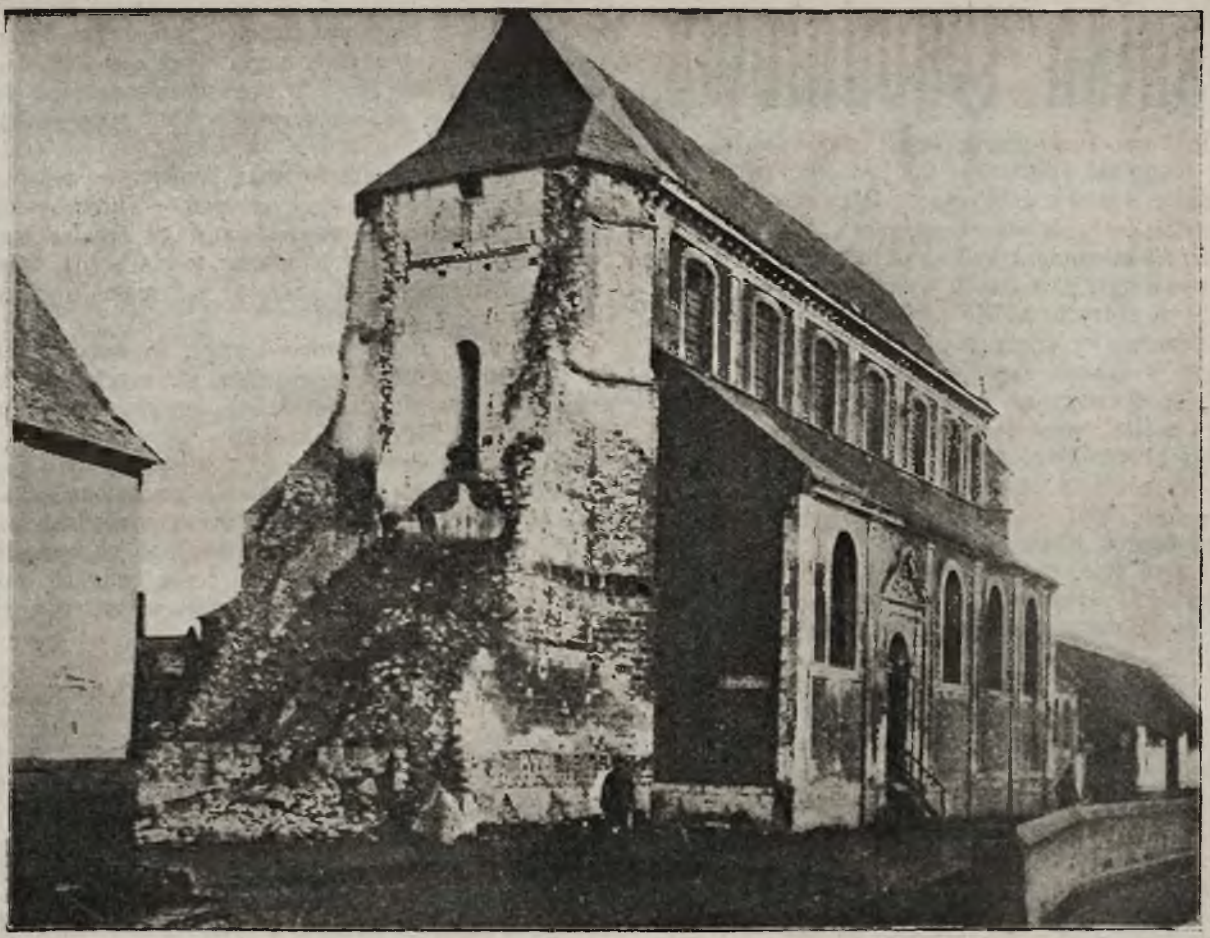
Izdebnik i z powrotem wyścigi kolarskie. Atrakcyą był bieg główny na 50 kilometrów, zwycięzca którego otrzymuje tytuł mistrza na przeciąg jednego roku. Do biegu tego stanęło czterech najlepszych jeźdźców krakowskich, a mianowicie p. Łowczyński, Gnojek, Wójcikiewicz i Choczner, oraz p. Kukułka z Tarnowa. Pierwszy przybył p. Gnojek (1 godz. 59 minut), drugim był p. Łowczyński (2 godziny 1 minuta 30 sekund), a trzecim p. Wójcikiewicz (2 godziny 19 minut).

Zatem zwycięstwo wraz z tytułem mistrza przypadło p. Gnojkowi, jako drugie z rzędu (ostatnie 1913/1914 r.). Zaznaczyć należy, iż mistrz osiągnął czas bardzo ładny, pomimo trzykrotnych defektów w drodze.

Jako bieg drugi puszczono bieg studencki na przestrzeni pięciu kilometrów z wynikiem następującym. Pierwszym był p. Staszek (10 minut 32 $^{1}/_{5}$ sekundy), drugim p. Tadek (11 minut 28 $^{4}/_{5}$ sekundy), a trzecim p. Rybka (13 minut 10 $^{3}/_{5}$ sekundy).

Na zakończenie odbył się bieg publiczności również na przestrzeni pięciu kilometrów z wynikiem następującym: Pierwszy przybył p. Paluch (11 minut 40 sekund), drugim był p. Jachowicz (13 minut 8 $^{2}/_{5}$ sekundy), a trzecim p. Dzidek (13 minut 37 sekund).

Jako sędziowie fungowali pp. Weiss, Filipek, Zajdzikowski, Lenartowicz i Jelonek.



Bitwa nad Sommą: Uszkodzony granatem kościół.



Z południowego frontu: Obóz wojsk niemieckich w Dobrudży.

Kronika tygodniowa.

Niedawno temu interpelował mnie pewien znajomy jegomość, dlaczego tak rzadko roztrząsam w kronice sprawy polityczne. Odpowiedziałem, że przyczyną jest niejasność sytuacyi, pojawianie się *Nowości illustrowanych* tylko raz na tydzień, co utrudnia omawianie aktualnych wydarzeń, no i względy wyższe, o których mówić nie można.

Innemi słowy rzecz miała się tak, jak z owym góralem z jakiejś zapadłej karpackiej wioszczyny, który, spotkawszy na jarmarku w miasteczku znajomego wójta, więc osobę urzędową, a żądny wiadomości z szerokiego świata, zapytał:

— A cóż tam nowego, panie wójcie?

— Ano, nic! — odparł autonomiczny urzędnik z miną bardzo seryo — Wojna!

— Dyć tyle, to i ja wiem! Ale wy, panie wójcie, jesteście urzędową osobą, dostajecie różne kawałki ze starostwa, z Rady powiatowej, ze sztajeramtu...

— No, myślę! Niema dnia, żeby kilka nie przyszło. Musiałem sobie nawet kupić nowe okulary!...

— W takim razie powiedzcie mi, kto się z kim bije, bo każdy, kogo zapytam, gada inaczej.

— To jest, widzicie, tak. Austrya bije się z Galicyą, a nasz im pomaga...

— Aha! Teraz to już wiem! A kiedyż będzie koniec?

— To jest, widzicie, znowu tak! Jakbym wam ja, urzędowa osoba, powiedział tak, wy pomyślelibyście sobie znowu tak, a to nie jest tak! Zresztą to jest tajemnica urzędowa i o tem nie z każdym można mówić!

Z tego wyjaśnienia zrozumiał góral doskonale całą sytuacyę polityczną i odszedł zbudowany na duchu. Ponieważ zaś łatwo bardzo mogłoby się zdarzyć, że i moje informacye polityczne byłyby zupełnie tak samo przejrzyste, wolę im dać spokój, a zająć się drobiazgami, które nam z dnia na dzień coraz bardziej dokuczają.

Zresztą politykowanie ma i tę jeszcze ujemną stronę, iż dzięki jemu można się nabawić nerwowej co najmniej choroby. Ot i mnie omal nie spotkało kiedyś coś podobnego.

Wspominałem już w swoim czasie, że na linii tramwajowej Rynek—Park krakowski kursują stare wozy, które aż się proszą o emeryturę, że są między nimi mające samorodne urządzenia tuszowe, wobec czego wskazanem jest odbywanie podróży z rozpiętym nad głową parasolem. Nie wiedziałem jednak, że krakowska Spółka tramwajowa rozporządza także i strzelającymi (na starość!) wozami.

A jednak jest tak!

Onegdaj jadę sobie najspokojniej do Redakcyi i czytam w drodze gazetę, mianowicie komunikat o sytuacyi w Grecyi, o kłopotach króla Konstantyna, który musiał się w Tatoi ufortyfikować, bo nie jest pewnym ani dnia, ani godziny, aż tu, jak nie huknie!... Strach ma wielkie oczy, ponieważ zaś miałem głowę nabitą zamachami, byłem w pierwszej chwili pewny, że to atentat, jeśli nie na króla greckiego, to na mnie i że z wozu wysiądę już jako nieboszczyk. Po chwili przyszedłem jednak do siebie i przekonawszy się, że cielesnej powłoce nic się nie stało, że nic mi nie brakuje, ani też nic niema zadużo, odbywałem już dalszą podróż w spokoju. Ow huk, który, jak mnie motorowy objaśnił, nie był jeszcze takim, jakim być powinien, wywołany został spaleniem się jakiegoś przewodu, ale mniej ważnego, pojechaliśmy bowiem dalej, choć nieco kulejąc.

Chyba więc dość ważny powód, by dać spokój polityce, zwłaszcza w tych czasach, gdy z nas każdy jest zdenerwowany i nieraz z igły robi niepotrzebnie widły.

Jest zresztą wiele innych tematów, zasługujących na poruszenie, na przykład zmiana kwartału i przypomnienie P. T. Czytelnikom, że należy odnowić przedpłatę, karty tłuszczowe, świeżo weszłe w życie, lub kłopoty, jakie mają nasze gospodynie z dniami urzędowego postu, dotąd w domach prywatnych lekceważonego.

Kto jada w restauracyi, ten musi przyjąć to, co mu tam podadzą, restauratorzy zaś, bojąc się kontroli, która u nich jest bardzo ułatwiona, dni postnych przestrzegają i trzy razy tygodniowo karmią nas kiszkami i fasolkami szparagowemi. Inaczej rzecz się ma w gospodarstwach prywatnych, nic też dziwnego, że żonaci tłuścieją coraz bardziej, gdyż żonki o nich pamiętają, a kawalerowie schną po prostu w oczach.

Aż tu w ubiegłym tygodniu rozeszła się lotem błyskawicy elektryzująca wiadomość, że po domach będą chodzić specyalne komisye, które nie tylko będą wąchać, czy zapach mięsa skąd nie dochodzi, ale mają nawet prawo i obowiązek zaglądać do każdego garnka, co w nim jest i robić z tego urzędowy użytek.

— Chciałabym widzieć taką komisyę — mówiła do mnie jedna ze znajomych pań — któraby się ośmieliła wedrzeć do mego domowego *sanctuarium*, to jest do kuchni, gdy ja jestem zajęta pracą, więc jeszcze nieubrana! Nie puszczę, jak mamę kocham i basta!

Pozwoliłem sobie zrobić uwagę, że władza jest do tego uprawniona, niewieście nie mogło się to przecież ani w głowie pomieścić, by ktoś inny, nie ona, mógł rządzić w jej kuchni.

A jednak pokazało się, że komisye te były potrzebne, w wielu bowiem domach znaleziono zakazane mięso pod różnemi postaciami. Opowiadano mi, iż w jednem gospodarstwie zapewniono na wstępie komisyę, że z mięsa niema ani śladu, gdy się zaś znalazła w kuchni, patrzy, z garnka wystawia nogi kura, wcale okazała.

— A to co? — pyta komisarz.

— Kura, panie komisarzu! — odpowiada gospodyni.

— Zapewniała pani przecież, że mięsa niema!

— Ależ! Ona taka chuda, że doprawdy mięsa na niej niema. Same kości...

Winnych przekroczenia, a było ich dość, pociągnięto do odpowiedzialności i pono ponakładano na nich kary pieniężne. Wyłoniła się przy tej sposobności kwestya, którą będą musiały rozstrzygnąć władze wyższe, co czynić należy, jeżeli zachodzi uzasadnione podejrzenie, iż w dzień postny najadł się ktoś mięsa, komisya zaś przybyła zapóźno, gdy inkryminowana potrawa znajdowała się już w głębi żołądków domowników. W takim wypadku podejrzane ososniki pod dozorem straży przewiezie się do Zakładu dla badania środków spożywczych, i tam, po wypompowaniu żołądka, zawartość jego podda się zbadaniu. — Jeżeli się okaże, że to jest mięso, winny ulegnie karze daleko surowszej i będzie musiał ponosić nadto koszta badania.

Bardzo miłe pole otwiera się teraz przed różnemi paniami sąsiadkami, które mają ze sobą stare porachunki do załatwienia. Wystarczy przyłapać którą, że gwałci post urzędowy i zrobić doniesienie, a będzie miała za swoje.

— Wie pan — powiada do mnie znajoma moja, panna Bajczarska — moja sąsiadka to tak nic sobie nie robi z przepisów urzędowych i kościelnych, że aż fe! Wczoraj podpatrzyłam przez dziurkę od klucza, że choć to był piątek, gotowało się u niej świńskie ucho... Zresztą mówiła mi o tem jej służąca... Obowiązkiem moim jest zawiadomić o tem władzę.

— A jest pani pewną, że to było rzeczywiście świńskie ucho, a nie ryba na przykład? — pytam.

— Prawie pewną!

— Mogłaby pani przysięgać na to?

— Hm!... Przysięgać?... Albo ja wiem? Ale pachniało tak, jak wieprzowina... Jeżeli zażądają przysięgi, to ja powiem, że nie pamiętam, bo ja jestem bardzo nerwowa!

— A jeżeli sędzia każe zbadać wówczas stan umysłowy łaskawej pani?

— To będę płakać!...

Wobec tego, że komisye owe i nadal będą składać po kuchniach swe wizyty, gospodynie są w kłopocie, najpierw, jak się na ich przyjęcie ubrać, a potem, co gotować, by mąż nie zrobił w domu awantury, że trzy razy tygodniowo karmią go jednem i tem samem. Wszystkie przepisy kucharskie teraz w kąt, trzeba przemienić się na jaroszów, w sobotę zaś nawet jaroszami być nie można, gdyż masła jeść nie wolno. Najszczęśliwszym byłby głodomór, który do końca wojny potrafiłby się obejść zupełnie bez jedzenia, by sobie żołądka nie zepsuć i nie narazić się z drugiej strony na odpowiedzialność za nieprzestrzeganie przepisów. A jest ich coraz więcej i coraz to inne. Dotąd baranina nie była mięsem, potem awansowała na mięso, dziś nie jest niem we środę.

Karty tłuszczowej jeszcze nie widziałem, słyszałem natomiast, że już uzyskała prawo obywatelstwa. Najbardziej cieszą się z niej baby wiejskie, sprzedające masło, odtąd bowiem wolno im je tylko za kartkami sprzedawać i prowadzić zapiski, w które władza ma prawo wglądać każdej chwili. Ponieważ jednak większość bab, przychodzących na targ z masłem, jest niepiśmienna, będą zmuszone, celem prowadzenia owych urzędowych zapisków, postarać się każda o specyalnego buchaltera i z nim przychodzić na Rynek, co znów wpłynie na podniesienie cen, ale przyczyni się do dokładnego skontrolowania spożycia tłuszczów. Zjadanie kartek chlebowych i tłuszczowych w stanie surowym utrudnia kontrolę i nie jest wskazanem ze względu na zdrowie poszczególnych osobników.

Albo proszę mi powiedzieć, czy mało kłopotu mieliśmy z owem darciem papierków dwukoronowych na dwie lub cztery części. W jednym sklepie dali ci taką połówkę, chcesz ją wymienić w drugim, a tam jej nie chcą przyjąć, poczta zaś, kolej i Urząd podatkowy ani słyszeć o tem nie chcą. Trudno zaś wymagać, by człek z każdym takim ogryzkiem pędził do Banku austro-węgierskiego, gdzie je wprawdzie wymieniają, ale nie są z tego bardzo zadowoleni, gdyż mają przecież i ważniejsze sprawy do załatwienia.

Niema jednak złego, by na dobre nie wyszło. Dzięki owym podartym dwukoronówkom zemściłem się przynajmniej na mym gospodarzu, który nie daje mi spokoju z czynszem. Zamiast być zadowolonym, że mu mieszkanie nie stoi próżne, on się jeszcze o pieniądze upomina. Ponieważ je bardzo lubi i często przelicza, by mu zrobić satysfakcyę, wypłaciłem mu komorne samemi ćwiartkami, tłumacząc się, że innej monety nie posiadam. Udawał z początku, iż nie chce brać, o co nie byłbym się wcale gniewał, ostatecznie dał się przekonać, ale na odchodnem zawiadomił mnie, że z powodu niepomyślnych konjunktur finansowych zdaje mu się, iż będzie musiał od przyszłego kwartału podwyższyć czynsze lokatorom, aby wyjść na swoje. Gdyby tak można było urządzić ogólny strejk lokatorów i wyprowadzić się gdzieś na Błonia, może zmiękłaby im rura. Na razie będzie to trudnem do przeprowadzenia, gdyż zbliża się zima, a wówczas nie obejdzie się człowiek bez dachu nad głową.

Czujemy to już dziś, choć mamy na razie tylko piękną polską jesień, ale tak chłodną, że wielu z obywateli, korzystając z okoliczności, iż właśnie mieliśmy pierwszego, więc pieniądze są w kieszeni, widziało się zmuszonych do wykupienia futra z lombardu już w październiku, choć zwykle czynili to dopiero w listopadzie. Zastanawialiśmy się też i nad tem, czy mieliśmy już „babie lato“, czy mamy do piero na nie czekać. Znawcy powiadają, że w bieżącym roku nie należy się spodziewać specyalnego „babiego lata“, całe bowiem lato było „babie“, to jest do niczego, a czy tam pajęczyna lata w powietrzu, czy nie, to już fraszka, nie mająca żadnego znaczenia.

Jedno nas tylko w tych zmartwieniach pocieszyło. Ulegając Wiedeńczykom, którzy grozili rewolucyą, pozwolono przeciętnemu osobnikowi wypijać w jednej knajpce po dwie bombki piwa, jak długo zapas starczy, ogłoszono bowiem znowu ograniczenie w jego produkcyi, jak o tem donoszą telegramy. Jakie to będą ograniczenia, rozporządzenie Ministerstwa skarbu z dnia 28 września b. r. na razie nie mówi. To jest jednak ciekawem, dlaczego piwo pilzneńskie jest u nas takie drogie, skoro na przykład we Wiedniu bomba najlepszego pilznera kosztuje najwyżej sześćdziesiąt ośm halerzy, więc mniej o dwanaście, niż w biednej Galilei. Różnica we frachcie nie jest chyba tak kolosalną. Ale ta Galicya przyzwyczaiła się już do tej swojej roli Kopciuszka. Każdy brałby z niej chętnie, co się tylko da, ale ją samą traktuje się zawsze po macoszemu.

Od Redakcyi.

Aby dostarczyć P. T. Czytelnikom zajmującej lektury, która byłaby odbiciem obecnej chwili dziejowej, jaką przeżywamy, zamieściliśmy w naszym dziale beletrystycznym szereg nowel, osnutych na tle walk Legionów i wogóle życia na froncie, w dzisiejszym zaś numerze rozpoczynamy druk nowej powieści znanego już naszym Czytelnikom młodego, lecz utalentowanego autora p. **Wiarygi-Minieskiego** p. t.:

„Poza frontem“.

Drukowana poprzednio na szpaltach „Nowości“ jego powieść **„Miłość i wojna“**, osnuta na tle życia polskich wygnańców, spotkała się z ogólnem uznaniem, nie wątpimy też, że i ta nowa powieść utalentowanego autora, która jest dalszym ciągiem „Miłości i wojny“ wzbudzi żywe zainteresowanie wśród naszych Czytelników.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka literacka.
Ułożył X. Nilik, Kraków.

Znaleźć tytuły utworów niżej wyszczególnionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko i imię polskiego powieściopisarza.

Kraszewski?
Orzeszkowa?
Kaczkowski?
Jeż?
Reymont?
Gruszecki?
Korzeniowski?
Lam?
Przybyszewski?
Sieroszewski?
Kochowski?
Gawalewicz?
Feldmann?
Krechowiecki?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Rak i Gide wie często mnie

Trójkąt magiczny.
Ułożył X. Nilik, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Inaczej nabój. 3. Miasto nad Morzem Czarnem 4 Królowa rzek polskich 5 Imię męskie. 6 Panujący. 7. Przyimek. 8. Samogłoska

Zadanie do przestawienia.
Ułożył X Nilik, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

E! Głos daje Annie G. zło

Kwadrat magiczny.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a a b
b b e l
l l l l

Znaczenie wyrazów: 1. Bożek babiloński. 2 Szata kapłana. 3 Postać z Biblii. 4. Zabawka.

Trójkąt magiczny.
Ułożył A. Tarnowski, Zakopane.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko malarza-Legionisty

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Miejsce cudowne na Litwie. 3. Wódz Izraelitów. 4. Wysłużeni żołnierze. 5. Część świata. 6 Imię żeńskie. 7 Miejsce, gdzie zawarto pokój ze Szwedami 8 Godność wojskowa. 9 Rzeka w Galicyi. 10. Przyimek. 11 Samogłoska

Łamigłówka.
Ułożył Maryan X, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie, na które zwracamy uwagę P. T. Prenumeratorów.

—oc
—ko
—óz
—ak
—ur
—ar
—ga
—en
—on
—za
—ut.

Depesza.
Ułożył X. Nilik, Kraków

Z liter na depeszy ułożyć znane polskie przysłowie:

Inko! Stsszek B. umarł Jan G. i Ela T. jadą
Y. Y

Bilety wizytowe.
Ułożył A. Tarnowski, Zakopane.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

E. KURNICKI.

Z MORASKI

NEMON PŁOCKI

P. A. KARCZ

PELI K. KARSKA

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 39.

Logogryf:
A g a w a
N a t a n
O s i e k
S z m u l
S y d o n
a n i o ł
o s i k a
S k a w a
L i n n e

Równanie:
Jonowa + Barzykowski + robocizna + gunia + Radko Dimitriew == **Jerzy Bogurad.**
Podniebienie + rewolwer + minia + akacya + ciasto + buława = **Niewolniay ciało.**

Kwadrat magiczny:
P a k a
A d a m
K a r o
A m o n

Łamigłówka literacka: Miecz i łokieć
Aspazya
Lilla Weneda
Chata za wsią.
Zamek kaniowski.
Egmont.
Wyzwolenie
Skargi Jeremiego.
Kain.
I nie wódź nas na pokuszenie.

Przysłowiówka: Każda liszka swój ogon chwali.

Logogryf:
L i d o w i e
U r w i s k o
D y s k o n t
W a l h a l a
I n f u ł a t
K a p i t a n
U l i k s e s
H a b a k u k
L u d w i k a
A r s e n a ł
N i k a n o r
D z i e k a n

Zadanie do przestawienia: Mądry Polak po szkodzie.

Zadanie do przestawienia: Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Bilety wizytowe: Podskarbi. Parasolnik. Rewident banku. Kolporter. Sierżant

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów. M Golska Wiedeń, M. Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R. Wójcik Przemyśl, Z. Małecki Lwów, S. Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl, Z. Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **H. Mańkowski, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Konkurs na stypendyum. Wydział Kasyna i Koła literacko-artystycznego we Lwowie ogłasza niniejszem konkurs na dwa stypendya w kwocie 600 koron rocznie, na przeciąg lat trzech 1916/1919 z fundacyi ś. p dra Józefa Kazimierza dw. im. Malinowskiego. O stypendyum to ubiegać się mogą młodzi utalentowani artyści, względnie artystki, urodzeni w Galicyi lub w Wielkiem Księstwie Krakowskiem, wyznania rzymsko-katolickiego, narodowości polskiej, którzy dali dowody szczególniejszego uzdolnienia i znakomitych postępów w sztuce, a chcieliby dla dalszego kształcenia się wyjechać za granicę. Podania o powyższe stypendyum należy wnosić do Wydziału Kasyna i Koła literacko-artystycznego we Lwowie, ulica Akademicka l. 13 najpóźniej do **15 października 1916 r.**

Z półek księgarskich.

Żołnierz polski a Stanisławie Witkiewiczu. Zmarły przed rokiem znakomity malarz i pisarz polski, Stanisław Witkiewicz, był jednym z najgorętszych entuzyastów ruchu legionowego. Znane są powszechnie pełne młodzieńczego zapału wyjątk z jego listów do siostry. Obecnie ukazał się w druku odczyt Legionisty, p. Tadeusza Korniłowicza, w którym są zwięźle zestawione polityczne i społeczne poglądy Witkiewicza, zacytowane z jego pism. Szkicując sylwetkę psychologiczną Witkiewicza, autor zwraca szczególną uwagę na przejawiający się w twórczości i działalności Witkiewicza „pierwiastek walki".

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego